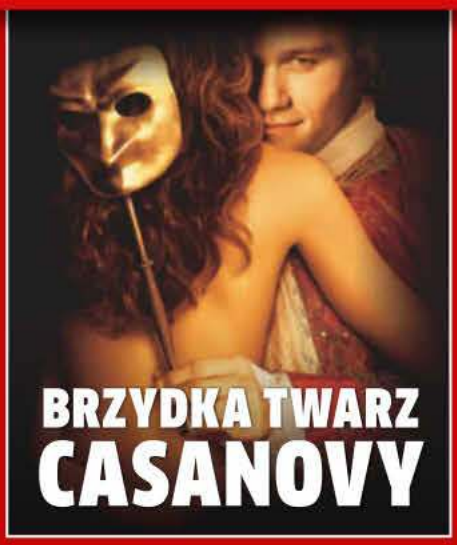
świat wiedzy
2/2026 (KWIECIEŃ–MAJ)
INDEX 405256, ISSN 2392-1072, CENA 13,99 ZŁ W TYM 8% VAT

HISTORIA

NIEZWYKŁA • WCIĄGAJĄCA • NIEZALEŻNA



BRZYDKA TWARZ CASANOVY



ZŁAPAĆ SZPIEGA

Tak działał kontrwywiad PRL



ŻOŁNIERZE W HABITACH

Kto skazał na **śmierć „bankierów Boga"?**

Jak zabijał **zakon skrytobójców?**

Czy film akcji uratował **klasztor Shaolin?**



TRUMNY NA KÓŁKACH

Przeklęte auta



Mała wojna domowa w polskim podziemiu



PIĄTA WŁADZA

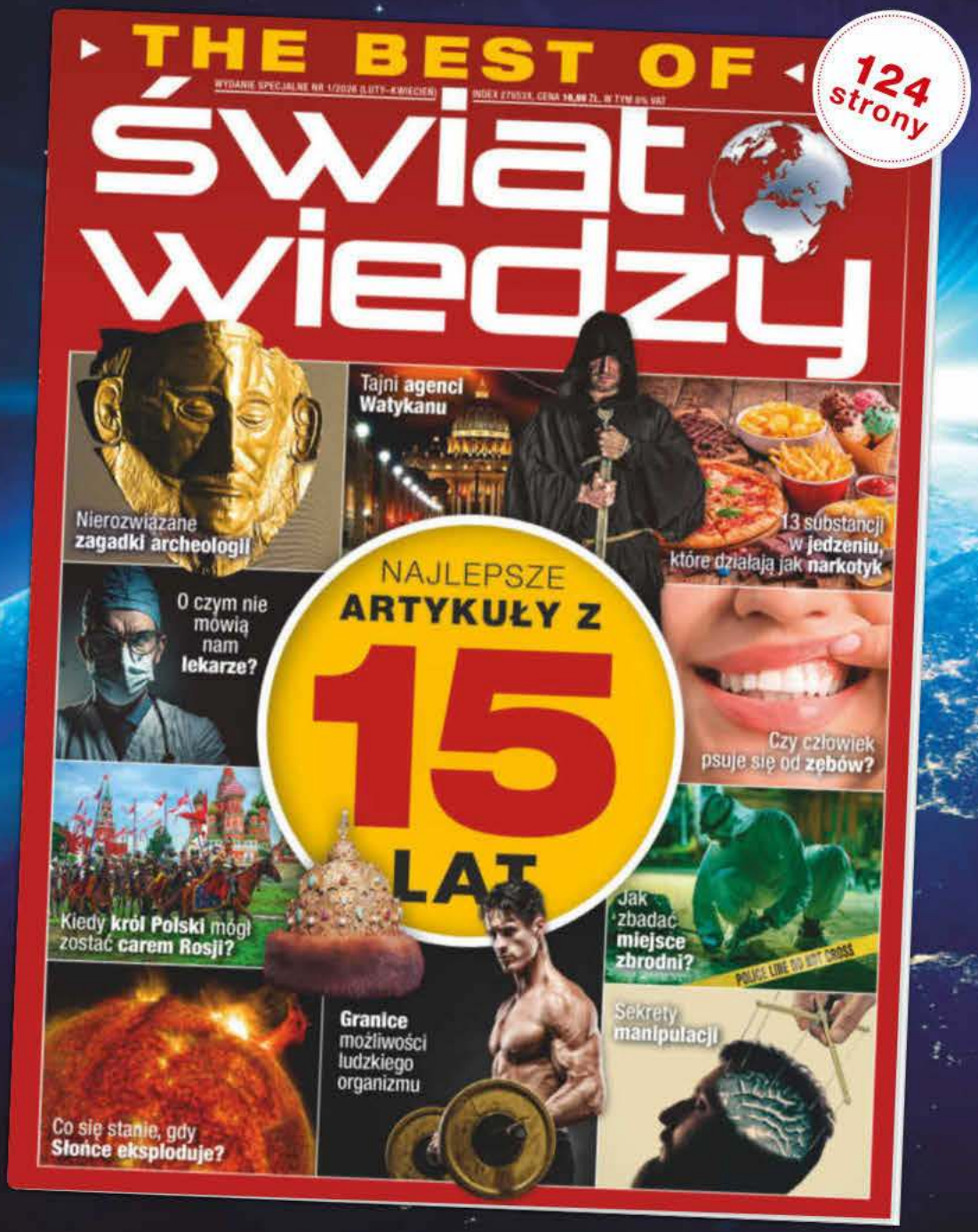
Jak Facebook i spółka obalają rządy?

ISSN 2392-1072 02
9 772392 107605

Numer w sprzedaży do 26.05.2026

eprasa.pl d83e96798c

Przeczytaj
NAJCIEKAWSZE ARTYKUŁY
z ostatnich 15 LAT



JUŻ W SPRZEDAŻY

Sprawdź też czasopisma na **czytelnia.pl**

eprasa.pl/d53e867956

świat wiedzy

HISTORIA

SPIS TREŚCI

04 Szwedzkie wakacje bin Ladena
„Król terrorystów" w sercu zachodniego dobrobytu

06 Pytania i odpowiedzi
Najnowsze odkrycia, przełomowe wydarzenia, wielkie postacie

12 Żołnierze w habitach
Zakony, przed którymi drżały imperia

20 Brzydka twarz Casanovy
Mroczna prawda o słynnym uwodzicielu

24 Polska podziemna
Czym była okupacyjna „mała wojna domowa"?

30 Piąta władza
Jak Facebook i spółka obalają rządy?

38 Trumny na kółkach
„Przeklęte" samochody, które stały się bohaterami mrocznych historii

44 Wędrówka ludów po polsku
Miliony wypędzonych, przesiedlonych, pozbawionych domów

52 Sarmaci – przodkowie Polaków?
W szlacheckiej legendzie tkwi ziarno prawdy...

58 Złapać szpiega
Jak działał kontrwywiad PRL?

64 Nieświęta trójca
Trzech papieży, jedna Europa i bezwzględna walka o władzę

70 Gdzie zniknęło kilkanaście milionów Indian?
Straszliwa cena podboju Nowego Świata

76 872 dni apokalipsy
Mieszkańcy oblężonego Leningradu przeżyli piekło

82 W następnym numerze



*Na czerwono zaznaczone zostały tematy z okładki

ZDJĘCIA I ILUSTRACJE NA OKŁADCE:
Adobe Stock (2); Bettmann via Getty Images/ Gallo Images; Polsat; Shutterstock (3); Wikimedia Commons; mat. redakcyjne/AI











REDAKTOR NACZELNY
Adam Szumiłak

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Dominika Dziosa-Józefiak, Miłosz A. Gerlich, Maria Rojewska

KONSULTACJA NAUKOWA
dr Igor Wypijewski

DYREKTOR CENTRALNEJ REDAKCJI GRAFICZNEJ
Robert Latek

DZIAŁ GRAFICZNY
Natalia Gąsiorowska, Monika Komorowska, Roman Nowacki, Małgorzata Porębska, Katarzyna Strycharz-Pityńska, Michał Wolski

KONTAKT Z REDAKCJĄ
swiatwiedzy@bauer.pl

ŚWIAT WIEDZY HISTORIA
Wydawnictwo Bauer
Concordia Design
Wyspa Słodowa 7
50-266 Wrocław

www.swiatwiedzy.pl
www.facebook.com/SwiatWiedzyHistoria

WYDAWCA
Wydawnictwo Bauer Sp. z o.o. Sp. j.
ul. Motorowa 1, 04-035 Warszawa

Prezes zarządu: Tomasz Namysł
Członkowie zarządu:
Andrzej Choynowski, Marek Lasota
Director, Publishing Management/ Dyrektor pionu wydawniczego:
Marek Lasota
Publisher/Wydawca:
Małgorzata Grono
Dyrektor finansowy:
Andrzej Choynowski
Dyrektor ds. produkcji:
Piotr Orełko
Dyrektor ds. dystrybucji i obsługi klienta:
Piotr Ludwicki, piotr.ludwicki@bauer.pl
Dyrektor biura reklamy:
Izabela Sarnecka

Dział reklamy:
Marcin Warych
marcin.warych@bauer.pl
Marta Potrzebska-Kalisz
marta.kalisz@bauer.pl
https://bauer.pl/reklama

Druk: Walstead Kraków Sp. z o. o.

Copyright: Wydawnictwo Bauer Sp. z o.o. Sp. j., ul. Motorowa 1, 04-035 Warszawa. Wydawnictwo Bauer jest członkiem Izby Wydawców Prasy. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i redagowania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w piśmie są zastrzeżonymi znakami towarowymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm i zostały użyte wyłącznie w celach informacyjnych. Kopiowanie i rozpowszechnianie materiałów zawartych w piśmie w jakiejkolwiek formie zabronione.

ISSN 2392-1072

Wydawnictwo Bauer ostrzega P.T. Sprzedawców, że sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych pisma po innej cenie niż wydrukowana na okładce jest działaniem na szkodę wydawcy i skutkuje odpowiedzialnością karną i cywilną.

Izba Wydawców Prasy

eprasa.pl d83e96798c



W ARABSKIM STYLU
Podobno najstarsi bracia poruszali się po Szwecji prywatnym samolotem, a młodsi limuzyną. Dziewczęta umieszczono w autobusie – nawet podczas wakacji nie było mowy o równouprawnieniu.

SZWEDZKIE WAKACJE BIN LADE

eprasa.pl d83e96798c



W klubach królowała muzyka disco, młodzież nosiła jaskrawe koszulki i kolorowe dzwony. Świat zachwycał się hasłami nieskrępowanej miłości i wolności. Zaczynały się szalone lata 70., kiedy nieśmiały nastolatek z Arabii Saudyjskiej trafił do samego serca zachodniego dobrobytu. To miały być wakacje jego życia.

NA

Podczas wypadów biznesowych do Europy młody arabski szejk pokochał Szwecję. Kiedy miał wreszcie dojść do skutku kontrakt firmy, którą zarządzał, z Volvo, stwierdził, że tym razem nie pojedzie sam. Chciał zarazić miłością do Skandynawii najbliższych – dlatego na wycieczkę zabrał 22 (z 53) rodzeństwa. W 1971 roku familia zawitała do Falun.

Mieszkańcy miasta dobrze już znali młodego szejka. Plotkowali o jego bajecznej fortunie i słabości do dyskoteki Ophelia. Wizyta jego licznej rodziny nie mogła więc przejść niezauważona. Lokalna gazeta donosiła o „arabskiej sławie" i „fanie disco" odwiedzającym chętnie muzyczne kluby w Falun oraz o towarzyszącym mu rodzeństwie. Z rodzinnej wyprawy zostało zdjęcie roześmianych młodych ludzi w modnych dzwonach, pozujących na tle różowej limuzyny (patrz obok). Tylko jedna z dziewcząt zasłania włosy. Wszyscy są wyraźnie zadowoleni z wakacji. Kilkanaście lat temu fotografia obiegła świat, wzbudzając wiele emocji. Znajduje się na niej bowiem „król terrorystów" – Osama bin Laden (wskazany strzałką).

To właśnie jego najstarszy brat Salem był wspomnianym arabskim szejkiem. I to on zabrał Osamę w podróż na „zgniły" Zachód. Czy już wtedy w głowie 14-letniego chłopca rodziły się mordercze plany? To wątpliwe. – *Był uroczym i uprzejmym dzieckiem, ale nieco odstawał od innych* – opisywała go właścicielka hotelu, w którym zatrzymali się bin Ladenowie, Christina Åkerblad. Nikt nie przypuszczał, co z niego wyrośnie.

Co ciekawe, do dziś nie potwierdzono ostatecznie, czy chłopiec na zdjęciu to rzeczywiście Osama. Jego rodzina stanowczo temu zaprzecza: – *Nawet nie był w Szwecji* – oznajmił jeden z jego braci. Z kolei Åkerblad twierdziła: – *To on! Można go poznać po uśmiechu!* Jak było naprawdę? Tego zapewne się nie dowiemy. Ostatecznie w tak licznej familii łatwo o dwóch podobnych do siebie chłopców. Poza tym ciężko pogodzić postać bezwzględnego terrorysty z wesołym dzieckiem noszącym dzwony…

MICHAŁ PROCNER

KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski ZDJĘCIE: Foto Dalmas/TT News Agency via AFP/East News KOLORYZACJA: Laiz Kuczynski

eprasa.pl d83e96798c

Co naprawdę mówi do konstytu

Dobrze uregulowana milicja jest niezbędna dla bezpieczeństwa wolnego państwa, prawo ludzi do posiadania i noszenia broni nie może być ograniczone" – głosi słynna druga poprawka. Została uchwalona w 1791 roku razem z dziewięcioma innymi, które miały uzupełnić konstytucję Stanów Zjednoczonych. Interpretacja tego, co Ojcowie Założyciele mieli na myśli pod tym lakonicznym zapisem, od dawna jest obiektem sporów.

Zasadniczo przepis miał służyć skuteczniejszemu zorganizowaniu milicji stanowych, będących podstawą obrony kraju. W założeniu każdy biały mężczyzna był milicjantem, który miał odbywać rutynowe szkolenia, a w razie zagrożenia bronić ojczyzny. W ramach tej formacji tworzono oddziały piechoty, kawalerii oraz artylerii, zaś milicjantów poddawano mniej lub bardziej skutecznej dyscyplinie. W praktyce były od tego liczne wyjątki, a bogatsi mogli się wykupić, ale idea pospolitego ruszenia pozostawała dla Amerykanów niezwykle ważna. Stanowe milicje nie istnieją jednak od ponad stu lat, zastąpione w 1903 roku przez bardziej profesjonalną Gwardię Narodową. Jak więc ten problem przekłada się na dzisiejsze USA?

Zwolennicy powszechnego dostępu do broni argumentują, że milicja jest po prostu wspólnotą obywateli, którzy w razie zagrożenia mogą samorzutnie zebrać się i walczyć o wolność własną oraz kraju. Taka interpretacja obowiązuje obecnie, rozszerzona o prawo do samoobrony dla każdego Amerykanina, ponieważ „prawo ludzi do posiadania i noszenia broni nie może być ograniczone". Przeciwnicy tego ujęcia skupiają się na pierwszym członie poprawki, który podkreśla, że chodzi o „dobrze uregulowaną milicję". Idąc tym tropem, poszczególne stany powinny mieć kompetencje do narzucenia ograniczeń w tej kwestii.

Paradoksalnie w całej debacie tylko sporadycznie pojawiają się głosy o przywróceniu przymusowej służby milicyjnej, o której myślano, tworząc drugą poprawkę. A przecież jest ona „niezbędna dla bezpieczeństwa wolnego państwa"...



eprasa.pl d83e96798c

druga poprawka cji USA?



ZABAWY Z BRONIĄ
W Stanach Zjednoczonych w rękach prywatnych znajduje się od 400 do 500 milionów sztuk broni palnej. To aż dwie na każdego dorosłego mieszkańca! Co najmniej jeden pistolet lub karabin posiada blisko połowa amerykańskich gospodarstw domowych.

eprasa.pl d83e96798c

CZY ŚREDNIOWIECZNA MARYNARKA WOJENNA DYSPONOWAŁA BRONIĄ CHEMICZNĄ?

Żyjący na przełomie XIII i XIV wieku filozof Idzi Rzymianin pisał: „Podczas walki na morzu zrzucano z burt na pokład przeciwnika dużą liczbę glinianych garnków wypełnionych wapnem. Naczynia roztrzaskiwały się przy uderzeniu, zawarty w nich proszek unosił się w powietrzu i dostawał do oczu wrogów, drażniąc je tak bardzo, że stawali się niemal jak ślepi". Ta broń chemiczna bywała obosieczna: zmiana wiatru powodowała, iż ograniczający zdolność widzenia pył mógł atakować również tych, którzy go użyli. Wtedy bitwa zamieniała się w chaotyczną bijatykę, o której wyniku nie decydowała przemyślana strategia, lecz – nomen omen – ślepy los.



eprasa.pl d83e96798c



Kiedy Polska wysyłała własne RAKIETY W KOSMOS?

W czasie zimnej wojny tylko potężne kraje inwestowały w zaawansowane badania technologii rakietowej – co ciekawe, w tym gronie była także Polska. Opracowane przez Jacka Walczewskiego i Adama Obidzińskiego rakiety meteorologiczne Meteor (rekonstrukcja powyżej) były przeznaczone do badania górnych warstw atmosfery. Pociski testowano nad Bałtykiem od 1965 do 1974 roku. Udało im się nawet wznieść w kosmos – czyli przekroczyć pułap 100 km. Projekt zarzucono na rozkaz Moskwy, ponieważ to Związek Radziecki miał mieć w komunistycznej części Europy monopol na technologię rakietową.

5 FAKTÓW I MITÓW

KOLONIZACJA



1 Kto miał prywatne państwo?

Król Belgów Leopold II. Kongo nie należało do Belgii, ale do niego osobiście poprzez unię personalną. Była to jedyna w XIX wieku prywatna kolonia uznana przez mocarstwa jako niepodległe państwo pod rządami jednego człowieka. Zasłynęła z najgorszego wyzysku w historii. Miejscową ludność zmuszano do zbierania kauczuku, stosując masowe mordy i okaleczenia. W wyniku terroru, głodu i chorób zginęło tam od 5 do 10 milionów ludzi.

2 Kogo niewolono w koloniach?

Nie tylko tubylców lub sprowadzonych w tym celu Afrykanów. Brytyjczycy praktykowali tzw. białe niewolnictwo. Do swoich kolonii w Wirginii i Maryland wysyłali więźniów (łącznie ok. 100 tys. ludzi). Sprzedawali ich plantatorom jako tanią siłę roboczą. Po utracie posiadłości amerykańskich w 1775 roku 162 tys. skazańców wywieźli do Australii. Z kolei na Barbados i inne wyspy karaibskie zesłali tysiące Irlandczyków.

3 Kto skolonizował najwięcej?

Brytyjczycy. Ich panowanie u szczytu potęgi (około 1920 roku) obejmowało prawie jedną czwartą powierzchni lądów Ziemi i podobny odsetek globalnej populacji. Kontrolowali terytoria na wszystkich kontynentach, stąd słynne powiedzenie, że nad ich imperium „słońce nigdy nie zachodzi".

4 Czy Polska miała kolonie?

Nie. Najbliżej ich posiadania Rzeczpospolita była w XVII wieku za sprawą swojego wasala – Księstwa Kurlandii i Semigalii, które miało dwie kolonie: Tobago na Karaibach i Wyspę św. Andrzeja w Gambii. W tej pierwszej, nazwanej Nową Kurlandią, istniała osada Casimirshafen na cześć króla Jana Kazimierza.

5 Kiedy Polacy wsparli powstanie niewolników?

W latach 1802–1803 Napoleon wysłał na Haiti, wówczas francuską kolonię San Domingo, ok. 5200 polskich legionistów. Powiedziano im, że jadą tłumić bunt więźniów. Dopiero na miejscu odkryli, że trwa tam zryw niepodległościowy niewolników. Widząc podobieństwo ich walki do własnych dążeń, część Polaków przeszła na stronę powstańców. Wielu później osiedliło się na wyspie, gdzie do dziś są pamiętani jako sojusznicy.

eprasa.pl d83e96798c

Kto rozstrzelał odpoczywających w parku?



Po I wojnie światowej w Indiach zaczęły narastać niepokoje społeczne. Szczególnie widoczne było to w Pendżabie, gdzie dochodziło do protestów. Ze względu na nasilające się akty buntu oraz zbliżające się święto płk Reginald Dyer zabronił spotykania się w Amritsarze więcej niż czwórkami. Problem w tym, że duża część ludzi nic nie wiedziała o zakazie. Szukając miejsca odpoczynku i cienia, 13 kwietnia 1919 roku w parku Jallianwala Bagh zgromadziło się ok. 20 tysięcy osób. Na wieść o tym płk Dyer wydał rozkaz zamknięcia wyjść oraz otwarcia ognia. Brytyjskie źródła podają, iż zginęło 379 spacerowiczów, a 1200 zostało rannych. Indyjskie informują o ponad 1000 ofiar śmiertelnych.

Jak w Kalifornii powstało MIASTO WIDMO?

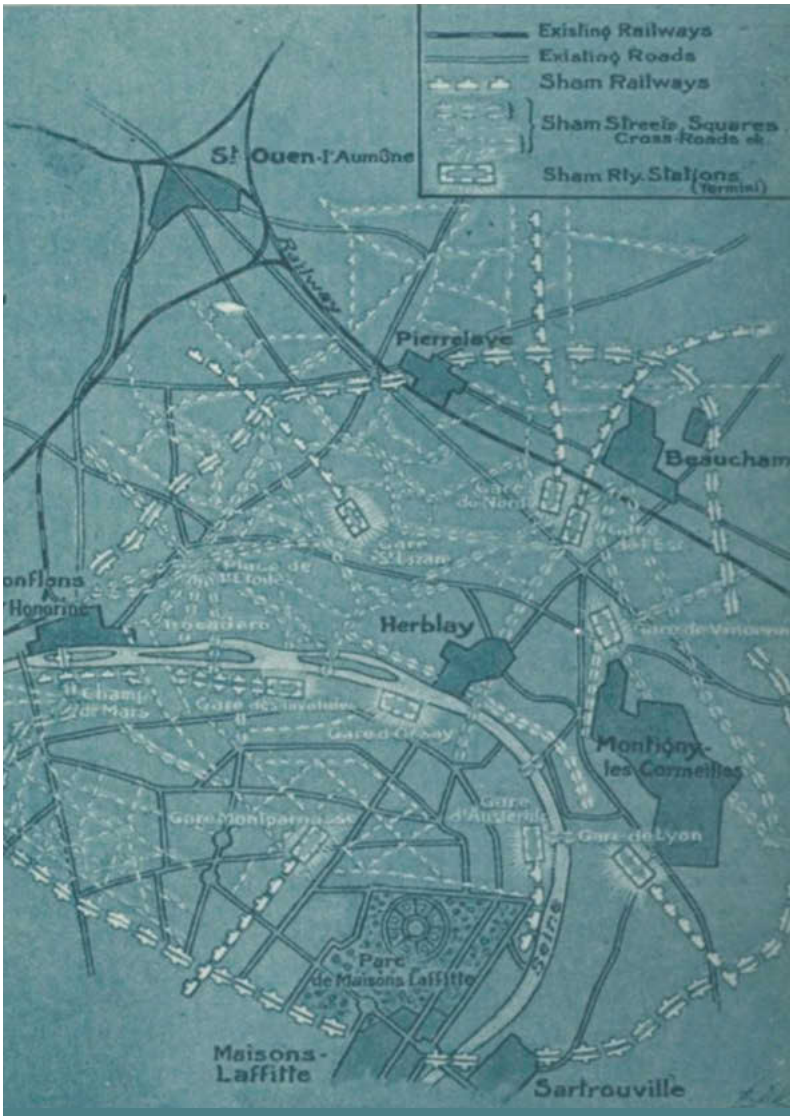
W 1956 roku pochodzący z Czechosłowacji profesor socjologii Nat Mendelsohn wykupił 82 tys. akrów ziemi na pustyni Mojave, mniej więcej 160 km na północ od Los Angeles, by stworzyć konkurencyjne miasto z ogromnym jeziorem w centrum. Miało tam zamieszkać pół miliona osób, ale dziś jego populacja wynosi zaledwie ok. 15 tys. ludzi – głównie pracowników pobliskiej bazy wojskowej. Co poszło nie tak? Cóż, wprawdzie działki w California City (bo tak prof. Mendelsohn nazwał swoją „metropolię") rozeszły się błyskawicznie, lecz mało kto faktycznie chciał się tam przeprowadzić. Wiele osób kupiło teren jako inwestycję, innych przestraszyła rozciągająca się wokół pustynia. Dziś wytyczone ponad pół wieku temu puste ulice przykryte kurzem wyglądają niczym geoglify z Nazca.

eprasa.pl d83e96798c



Na którym brytyjskim królu DOKONANO EUTANAZJI?

Pod koniec 1935 roku stan zdrowia Jerzego V (na zdj.), który od pewnego czasu poważnie chorował, zaczął się pogarszać. Dwudziestego stycznia nadworny lekarz poinformował rodzinę monarchy, iż zaledwie godziny dzielą go od śmierci. Bliscy króla postanowili skrócić jego agonię – aby informacja o zgonie władcy ukazała się w porannych gazetach, a nie w mniej prestiżowych dziennikach wieczornych. Zgodnie z życzeniem królowej podano pacjentowi ¾ g morfiny oraz 1 g kokainy. Jerzy zmarł o 23:55. Sprawa ujrzała światło dziennie dopiero pół wieku później, gdy opublikowano notatki medyka.



Dlaczego wybudowano fałszywy Paryż?

Pod koniec I wojny światowej miasto miłości stało się celem nalotów II Rzeszy. Francuski rząd postanowił oszukać pilotów wroga, co ułatwiał fakt, iż ówczesne bombowce nie posiadały radarów. Zdecydowano o... budowie fałszywego Paryża. Plan był prosty: w razie ataku zamierzano wyłączyć światła w stolicy, a zapalić je w atrapie, aby niemieccy lotnicy sądzili, że znajdują się nad metropolią. W tym celu wzniesiono całe dzielnice (mapa powyżej), zainstalowano oświetlenie uliczne i stworzono drewnianą imitację pociągu. Ba, „miasto" posiadało nawet replikę Łuku Triumfalnego! Wszystko na nic. Jedenastego listopada 1918 roku w Compiègne podpisano rozejm – i projekt nigdy nie został przetestowany pod kątem skuteczności.

Po co kosmonautom BROŃ?



Nie, nie do walki z ufoludkami. Na wyposażeniu rosyjskich zdobywców kosmosu znajduje się pistolet, na wypadek gdyby po powrocie na Ziemię wylądowali na Syberii – i musieli bronić się przed dziką zwierzyną albo wrogo nastawionymi tubylcami. W latach 1986–2006 specjalnie dla kosmonautów produkowano broń typu TP-82 (na zdj.). Miała ona trzy lufy: dwie na gruby śrut i jedną mniejszego kalibru. Ba, posiadała nawet odczepianą kolbę, w której znajdowała się maczeta!

KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski
ZDJĘCIA I ILUSTRACJE: piemags/Alamy/BEW (2); Karen Bleier, British India, Robyn Beck/East News (3); Vitaly V. Kuzmin/Wikimedia Commons (4)

eprasa.pl d83e96798c

KRZYŻEM I MIECZEM

Templariusze byli jednymi z najsłynniejszych – a na pewno najbogatszych – mnichów-wojowników. Bajeczne skarby zakonu przeszły do legendy, ale samych rycerzy w habitach obowiązywała surowa reguła, stworzona m.in. przez św. Bernarda z Clairvaux, nakazująca im życie w skrajnym ubóstwie. Podobno nawet kąpiel czy wizytę u balwierza uznawali za zbędny luksus. Braciom nie wolno też było korzystać z rozrywek (w tym gry w szachy), a także... bez potrzeby używać oręża. Po broń mogli sięgać jedynie w imię wiary!

ŻOŁNIER W HABIT



eprasa.pl d83e9672c



WET ZA WET

Do upadku templariuszy doprowadził król Francji Filip IV Piękny. Aby pozbyć się długów u braci, postanowił pomóc im w szybszym dostaniu się do nieba... Gorzko tego pożałował – Wielki Mistrz Jakub de Molay (na il.) przed spaleniem na stosie ponoć przeklął monarchę oraz papieża Klemensa V, który nie ocalił zakonników. Obaj zmarli w ciągu roku.

ZE ACH

Modlitwa i pomoc potrzebującym? Nic z tych rzeczy – przedstawiamy zakony, które mieczem lub sztyletem były w stanie zagrozić militarnym potęgom.

TEMPLARIUSZE

Klątwa bankierów Boga

Nie ma zakonu, wokół którego narosłoby tyle legend. Łączono go ze Świętym Graalem, asasynami, masonerią, potężną klątwą, a nawet... przesądem o pechowości piątku trzynastego. Liczba związanych z templariuszami tajemnic nie dziwi: choć byli najpotężniejszym oraz najbogatszym zgromadzeniem religijnym w Europie, ich koniec był niespodziewany, szybki i drastyczny.

Pierwotną rolą braci była ochrona podróżników do Ziemi Świętej oraz Jerozolimy. To tam założyli swoją pierwszą siedzibę i stali się wiodącą siłą militarną, a liczący początkowo kilkudziesięciu rycerzy zakon rozrósł się do organizacji zrzeszającej około 15–20 tysięcy członków (z czego rycerze stanowili 10–15 procent).

Wagę zgromadzenia potwierdzała już nazwa bulli biorącego je pod swe władztwo papieża Innocentego II z 1139 roku: *Omne Datum Optimum*, czyli *Każdy podarunek doskonały*. O tym, że misja została powierzona odpowiednim mnichom, gorliwie zaświadczał Bernard z Clairvaux, doktor Kościoła oraz współorganizator II krucjaty, który napisał dla nich regułę zakonną i był jednym z głównych propagatorów bractwa. Ponoć z dumą stwierdził, że templariusze są nieustraszonymi rycerzami, a ich dusze i ciała są chronione przed demonami oraz ludźmi.

Kolejne papieskie bulle – *Żołnierze Świątyni* oraz *Żołnierze Boga* – jasno wskazywały, że z tymi rycerzami-zakonnikami nie warto zadzierać. >

eprasa.pl



ODSĄDZENI OD CZCI I WIARY

Francuski władca wytoczył przeciwko templariuszom najcięższe działa. Oskarżył ich m.in. o oddawanie czci „złotej głowie", całowanie współbraci w różne części ciała (w tym miejsca intymne oraz pępek), a także wypieranie się Chrystusa oraz plucie na krzyż. O tym, że zarzuty zostały zmanipulowane bądź całkowicie wymyślone, najlepiej świadczy fakt, że wspomnianą „złotą głową" okazał się... damski relikwiarz.

Zwłaszcza że na pola bitew w Syrii i Palestynie zabierali ze sobą relikwie Prawdziwego Krzyża, należące do najcenniejszych skarbów łacińskich państw krzyżowych.

Wbrew swej oficjalnej nazwie Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona szybko stał się ekonomiczną potęgą. Templariusze posiadali liczne dobra w całej Europie, które zdobyli nie tylko za sprawą spadków i darowizn, ale przede wszystkim dzięki... operacjom bankowym. Mnisi rozwinęli nowoczesny (jak na tamte realia) system: wyposażali rycerzy, którzy udawali się na wyprawy krzyżowe, i w przypadku ich śmierci zatrzymywali zastawione przez nich dobra. Wprowadzili też coś na kształt czeków – kiedy możny udawał się na pielgrzymkę, powierzał braciom w Europie depozyt i otrzymywał dokument, na podstawie którego zakonnicy w Ziemi Świętej wypłacali mu odpowiednią kwotę. Nie bez znaczenia był również specjalny papieski przywilej, zezwalający templariuszom na handel z wyznawcami innych religii.

Niezależność zakonników od lokalnych królów oraz książąt zapewniał im fakt, że odpowiadali tylko przed ojcem świętym, a z ich bankowych usług korzystali potężni możnowładcy. Ale w ostatecznym rozrachunku to bogactwo okazało się przekleństwem.

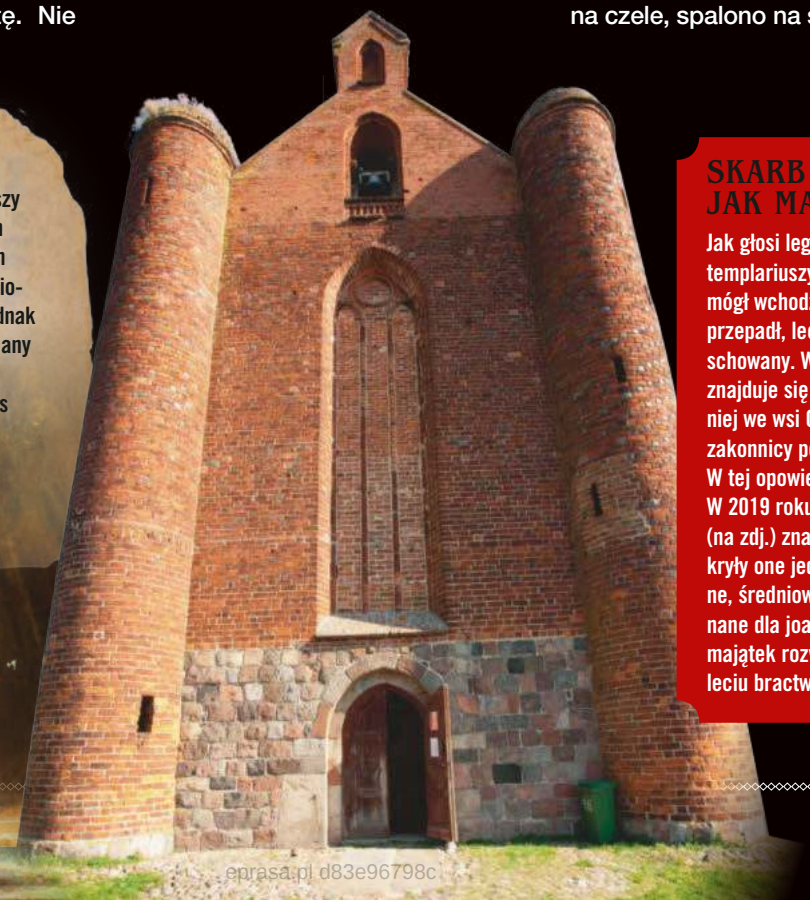
Francuski król Filip IV Piękny, chcąc uwolnić się od ogromnych długów, jakie miał u „bankierów Boga", oskarżył braci m.in. o herezję, bezczeszczenie krzyża, wypieranie się wiary oraz stosunki homoseksualne. Aresztowania templariuszy przeprowadzono w jednym czasie w wielu miejscach kraju – w piątek 13 października 1307 roku.

O tym, że wszystko było jedynie intrygą uknutą przez monarchę, świadczy m.in. fakt, iż władca już wcześniej umieścił kilkunastu szpiegów w zakonie. Z kolei tzw. pergamin z Chinon z 1308 roku, odkryty dopiero ćwierć wieku temu przez włoską badaczkę Barbarę Fralę, opisywał wyniki przesłuchania najważniejszych templariuszy, w tym Wielkiego Mistrza Jakuba de Molay, i jasno wskazywał na to, że papież Klemens V oczyścił ich z zarzutu herezji, optując jedynie za reformą bractwa. Ostatecznie jednak zakon został skasowany, a parudziesięciu jego członków, z Wielkim Mistrzem na czele, spalono na stosach.

STRAŻNICY GRAALA

Motyw rycerzy podobnych do templariuszy (noszących stroje z czerwonym krzyżem na białym tle) szukających i strzegących Świętego Graala pojawia się już w średniowiecznych romansach. Poeci nie byli jednak zgodni, czym tak naprawdę był wspomniany skarb. Najpopularniejsza wersja mówi o kielichu, którego Jezus używał podczas Ostatniej Wieczerzy.





SKARB JAK MALOWANY

Jak głosi legenda, tajemniczy skarb templariuszy, w którego skład mógł wchodzić Święty Graal, nie przepadł, lecz został bezpiecznie schowany. Według jednej z hipotez znajduje się w Polsce, a dokładniej we wsi Chwarszczany, gdzie zakonnicy posiadali swoje dobra. W tej opowieści tkwi ziarno prawdy! W 2019 roku pod tamtejszą kaplicą (na zdj.) znaleziono sieć tuneli. Nie kryły one jednak złota, a drogocenne, średniowieczne freski, wykonane dla joannitów, którzy przejęli majątek rozwiązanego w XIV stuleciu bractwa.

eprasa.pl d83e96798c

NIZARYCI

Zakon skrytobójców





FIKCYJNE ŻYCIE WIECZNE

Legenda asasynów żyje nadal, m.in. dzięki serii gier komputerowych *Assassin's Creed* oraz opartemu na niej filmowi o tym samym tytule (kadry obok i poniżej). Popkultura odeszła jednak od faktów historycznych i ukazuje członków sekty po prostu jako niezawodnych skrytobójców.

Mroczny zakon bezwzględnych zabójców od przeszło tysiąca lat rozpala wyobraźnię. To od niego pochodzi angielskie słowo assassination, oznaczające skrytobójcze morderstwo bądź zamach. Czyny jego członków przypominały działania współczesnych terrorystów – lub tajnych agentów.

Na temat asasynów, a właściwie nizarytów, powstało wiele legend. Jedna z barwniejszych dotyczy werbowania nowych adeptów. Podobno potencjalny kandydat był najpierw odurzany haszyszem, po czym wywożono go do siedziby zakonu – słynnej twierdzy Alamut. Tam budził się w pięknym ogrodzie, zaś czuwający przy nim członek sekty wmawiał mu, że umarł, ale dostał się do raju. Jednak ze względu na swoje przewiny, aby móc pozostać w nim na zawsze, musi jeszcze wrócić na ziemię i wykonać jedno zadanie, czyli dokonać zamachu, w wyniku którego najprawdopodobniej poniesie męczeńską śmierć.

Opowieść ta jest całkowicie zmyślona i nie znajduje potwierdzenia w muzułmańskich źródłach, nawet tych, które nie były przychylne tajemniczym wojownikom. Tego typu sensacje wymyślali europejscy kronikarze, przyczyniając się w ten sposób do narodzin czarnej legendy asasynów.

W rzeczywistości nizaryci byli wyznawcami ismailizmu (odmiany islamu szyickiego). Założycielem sekty był żyjący na przełomie XI i XII wieku jeden z perskich przywódców Hasan ibn Sabbah. Ambitny uczony ogłosił, że będzie sprawował rządy w świecie arabskim w imieniu zmarłego syna kalifa z dynastii Fatymidów, Nizara ibn al-Mustansira (stąd nazwa grupy), który przegrał walkę o sukcesję ze swoim młodszym bratem.

Sabbah, aby wygrać z siłami Fatymidów, zdobywał strategiczne forty, z których najważniejszym była przejęta w 1090 roku górska twierdza Alamut. Nierzadko uciekał się też do skrytobójstwa. Jak wyjaśnia Małgorzata Jakiel, badaczka kultury islamu, wspomniane mordy, dokonywane nierzadko na oczach wielu świadków, miały na celu zastraszenie potencjalnych wrogów nizarytów. Ofiarą okrutnych zabójców mógł paść dosłownie każdy, nawet ktoś zupełnie niezwiązany z polityką. Taktyka okazała się skuteczna – królestwo Sabbaha szybko powiększyło się o terytoria perskie, irackie i syryjskie.

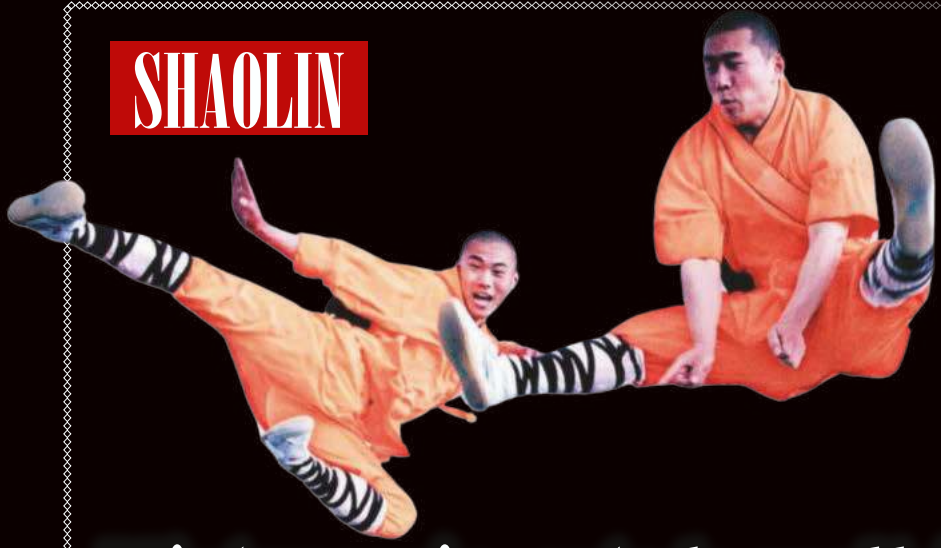
Kres nizaryckiej potędze położyli dopiero półtora wieku później Mongołowie, którzy zdobyli, a następnie złupili Alamut, oraz egipscy sułtani. Część zrzeszenia jednak przetrwała i udała się do Indii, gdzie ich wspólnota istnieje do dzisiaj.

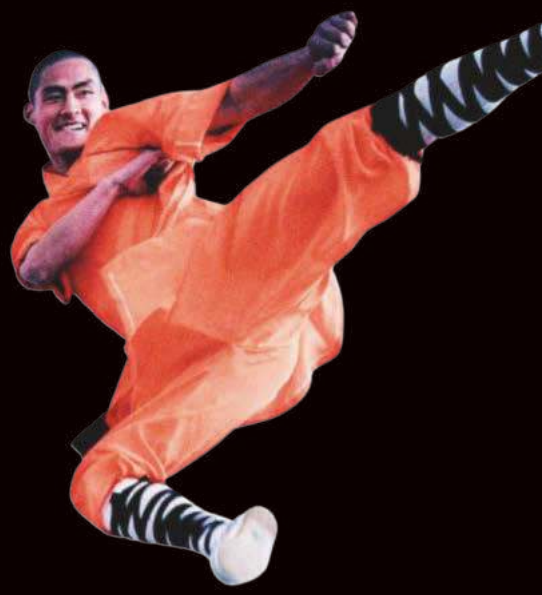


POWRÓT ASASYNÓW

Choć film fabularny *Assassin's Creed* z 2016 roku (kadr obok) nie okazał się spektakularnym sukcesem (produkcję drugiej części anulowano), temat nizarytów wciąż fascynuje twórców. Obecnie trwają prace nad serialem Netflixa inspirowanym dziejami sekty zabójców.

SHAOLIN





Mistrzowie sztuk walki

Za jedną z kolebek chińskich sztuk walki uznaje się wybudowany pod koniec V wieku n.e. buddyjski klasztor o wdzięcznej nazwie Świątynia Młodego Lasu, czyli Shaolin Si. Według późniejszych legend potęgę zarówno militarną, jak i obecnie popkulturową zawdzięcza on jednak nie swemu założycielowi, cesarzowi Xiaowen, lecz indyjskiemu mnichowi – Bodhidharmie. To właśnie on miał zapoczątkować „wojowniczą tradycję" zgromadzenia, choć współcześni badacze wskazują, że system walki Shaolin rozwijał się stopniowo przez wiele stuleci. Z całą pewnością duchowny ten zrewolucjonizował zakon, nie tylko propagując buddyzm chan, ale i inicjując szereg nowatorskich zmian w codziennym klasztornym życiu. Wśród licznych zaleceń znalazło się m.in. praktykowanie wielogodzinnych medytacji oraz... picie herbaty. Najważniejsze było jednak wprowadzenie ćwiczeń fizycznych, które miały pomóc mnichom jak najdłużej zachować dobrą kondycję (sam Bodhidharma według niektórych zapisków dożył 150 lat). Prozdrowotne ćwiczenia szybko przerodziły się w nowy styl walki. Nic dziwnego, że wkrótce z usług bitnych duchownych zaczęli korzystać sami cesarze. Niejednokrotnie prosili opatów Shaolin o to, aby ich podopieczni szkolili przyszłych żołnierzy.

Trening był wyjątkowo żmudny. Składały się na niego wyszukane, wielogodzin-



NARODZINY LEGENDY

Na temat życia Bodhidharmy (wizerunek po lewej) narosło wiele legend. Jak głosi jedna z nich, pewnego razu buddyjski mistrz, walcząc z sennością, aby nie zakłócić długotrwałej modlitwy, wyrwał sobie powieki z oczu, które po opadnięciu na ziemię zmieniły się w krzewy herbaty. Według innej Bodhidharma, zanim został przyjęty do klasztoru Shaolin, nieprzerwanie medytował przez dziewięć lat w pobliskiej jaskini.

eprasa.pl d83e96798c

ne ćwiczenia powtarzane każdego dnia. Jak podają eksperci od sztuk walki, Jaromir Śniegowski oraz Janusz Szymankiewicz, adepci chodzili po sali usłanej dwucentymetrowymi kulkami, próbując przy tym zachować równowagę. Innym zadaniem było uderzanie w przytwierdzony do muru blok z tysięcy kart papieru. O sukcesie świadczyło dopiero ukazanie się cegieł. Z kolei podczas egzaminu na mistrza mnisi musieli po kolei poprawnie zaatakować 36 manekinów, używając za każdym razem innej techniki.

Niestety potęga Shaolin nie zawsze potrafiła oprzeć się historii. Klasztor został trzykrotnie zniszczony. Najpierw w XVII wieku przez wojska z dynastii Qing, które walczyły z siłami cesarza z dynastii Ming. W latach 30. XX wieku spalił go watażka w trakcie jednej z wojen, a następnie zabytkowy kompleks ucierpiał w wyniku ataku hunwejbinów – radykalnej młodzieżówki Mao Zedonga – podczas komunistycznej rewolucji kulturalnej. Od całkowitego upadku ocalił go... film akcji (zobacz obok).



FILMOWY RATUNEK

Niewiele brakowało, by buddyjskie zgromadzenie wojowniczych mnichów zniknęło na zawsze z kart historii. Na początku lat 80. XX wieku w świątyni służyło zaledwie czterech duchownych. Wszystko zmienił jednak film *Klasztor Shaolin* (kadr powyżej), w którym główną rolę zagrał mistrz wushu Jet Li. Produkcja okazała się przebojem i doczekała dwóch sequeli, a do Shaolin zaczęli ściągać ochotnicy, pragnący zasilić szeregi bractwa. Powstało też wiele inspirowanych klasztorną tradycją szkół sztuk walki. Jedna z nich – Shaolin Temple Tagou Martial Arts School – liczy dziś ponad 36 tys. uczniów.

NA OSTRZU WŁÓCZNI

Dziś mistrzowie Shaolin wykorzystują swoje niezwykłe umiejętności podczas widowiskowych spektakli, będących główną atrakcją dla turystów odwiedzających kompleks klasztorny. Nierzadko „sztuczki" prezentowane w trakcie pokazów wyglądają na niebezpieczne, tak jak widoczna obok tzw. technika srebrnej włóczni. Ma ona ukazać nie tylko fizyczną, ale również psychiczną siłę mnicha, który dzięki oddechowi wzmacnia swoje ciało tak, że jest w stanie wytrzymać nacisk broni.

eprasa.pl d83e96798c

ZAKON MALTAŃSKI

Uzdrowiciele w zbrojach



DOM SZPITALNIKÓW

O niegdysiejszej potędze joannitów świadczy m.in. imponująca twierdza Krak des Chevaliers (na zdj.) położona na terenie dzisiejszej Syrii. Bracia przejęli nad nią kontrolę w połowie XII wieku. Rozbudowali i umocnili zamek, który przez kolejnych 150 lat stawiał opór atakom niewiernych. Gdy w 1291 roku krzyżowcy opuścili Bliski Wschód, budowla straciła swą pierwotną funkcję – została przekształcona w domy dla muzułmańskich osadników.

Obrona wiary i służba ubogim – tak brzmi motto Zakonu Maltańskiego, którego historia sięga jeszcze czasów poprzedzających I wyprawę krzyżową z lat 1096–1099. Początkowo zadaniem joannitów, zwanych też szpitalnikami, była ochrona pielgrzymów i opieka nad chorymi w Ziemi Świętej, ale po upadku Królestwa Jerozolimskiego i przeniesieniu swojej głównej siedziby na Cypr rozpoczęli działalność na Starym Kontynencie.

Szybko zasłynęli nie tylko jako wybitni uzdrowiciele, ale także waleczni wojownicy, którzy zdobywszy wyspę Rodos, zamienili ją w prawdziwą morską twierdzę, stając się dzięki temu kluczową potęgą w basenie Morza Śródziemnego. Wielki Mistrz nosił nawet tytuł księcia Rodos, bił własną monetę oraz prowadził samodzielną politykę zagraniczną. Religijne państwo posiadało aż siedem (później dziewięć) urzędowych języków, gdyż w szeregi zakonu wstępowali arystokraci z całej Europy.

Jednym z najpotężniejszych wrogów bitnych rycerzy był sułtan Sulejman Wspaniały, który próbował zdobyć ich ówczesną siedzibę, czyli Rodos. Jak podaje historyk André Clot, liczba okrętów padyszacha wynosiła 300, załoga 10 tysięcy ludzi, a piechota – 100 tysięcy. Ponadto Turcy posiadali około 100 dział. Siły zakonu składały się z zaledwie 7000 osób, w tym 650 rycerzy i 300 marynarzy. Ostatecznie stroną zwycięską okazało się Imperium Osmańskie. Jednak ponad półroczne oblężenie wykrwawiło armię napastników (jednego dnia miało ponoć zginąć aż 45 tysięcy Turków!). Sułtan był pod tak dużym wrażeniem odwagi i bitności przeciwnika, że pozwolił rycerzom opuścić wyspę w honorowy sposób. O niezwykłych wojskowych umiejętnościach braci może świadczyć również fakt, że późniejszy atak Sulejmana Wspaniałego na Maltę – nową siedzibę zakonu – zakończył się porażką.

Sława i potęga kawalerów maltańskich szybko rosła. Komandorie powstawały w całej Europie, w tym w Polsce, a w szeregi zakonu wstępowało coraz więcej osób. Wśród nich był...

ROZMIENIONE NA DROBNE

W 1318 roku oficjalną walutą Zakonu Maltańskiego stało się scudo (poniżej). System monetarny był dosyć skomplikowany: 1 scudo dzieliło się na 12 tari, a 1 taro na 20 grani. Najmniejszą wartością był piccoli, który stanowił zaledwie 1/1440 scudo.



ZDJĘCIA I ILUSTRACJE: Philipp Horak/Amzenberger, Claro Cortes/Reuters/Forum (2); Adobe Stock (5); Shutterstock (5); Wikimedia Commons (4); InPlus/East News; kadry z filmu *Assassin's Creed*/Polsat (3); www.freestampcatalogue.com (2); Order of Malta Poste Magistrali

KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski

prawosławny rosyjski car Paweł I, syn Katarzyny II. Podobno od dzieciństwa zaczytywał się w historii bractwa i marzył o tym, aby stanąć na jego czele. Jako władca obdarzył instytucję licznymi dobrami, a nawet zaprojektował dla kawalerów maltańskich nowe mundury. Ustanowił również komandorię w Rosji. Szybko zyskał miano najpierw Obrońcy Zakonu Maltańskiego, a następnie, po tym jak (nieskutecznie) chronił Maltę przed napoleońskimi wojskami, także Mistrza Zakonu – został wybrany na to stanowisko przez rosyjskie przeorstwo bractwa, choć nigdy nie uznał tego ani papież, ani znaczna część członków zgromadzenia. To on później przyjął mnichów, którzy musieli opuścić wyspę.

Ojcowskiej miłości do szpitalników nie podzielał kolejny car – Aleksander I. Pośrednio przyczyniło się to do obecnej misji zakonu. To właśnie wybrany wówczas mistrz, Giovanni Battista Tommasi, przeniósł siedzibę joannitów ostatecznie do Rzymu, a także naciskał, aby bracia zajęli się nie walką, lecz przede wszystkim opieką nad chorymi i potrzebującymi.

Dziś zgromadzenie koncentruje się na pomocy humanitarnej na terenach dotkniętych klęskami żywiołowymi bądź działaniami zbrojnymi. Formalnie posiada nawet własne państwo oraz wydaje paszporty. I choć nie ma terytorium, a jedynie dwie eksterytorialne rezydencje we Włoszech, Zakon Maltański utrzymuje stosunki dyplomatyczne z ponad setką krajów oraz ma status stałego obserwatora m.in. przy ONZ czy Komisji Europejskiej.
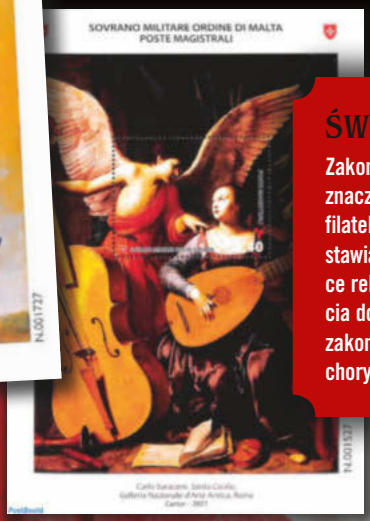
KATARZYNA MICHALEWICZ



FARBOWANY MNICH

W szeregi joannitów wstąpił również jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy baroku – Caravaggio (portret powyżej). Do przywdziania habitu nie zachęciło go jednak nagłe oświecenie, ale... próba ucieczki przed sprawiedliwością. Wcześniej zabił w nielegalnym pojedynku stręczyciela.





ŚWIĘTA POCZTA

Zakon Maltański wydaje własne znaczki, które są cenione przez filatelistów. Najczęściej przedstawiają słynne obrazy o tematyce religijnej, rysunki oraz zdjęcia dokumentujące pomoc, jaką zakonnicy nieśli i nadal niosą chorym oraz potrzebującym.



POD BIAŁYM KRZYŻEM

Oficjalnym hymnem Zakonu Maltańskiego jako państwa jest *Ave Crux Alba* (*Witaj Biały Krzyżu*). Słowa nawiązują do flagi joannitów, na której widnieje biały krzyż na czerwonym tle (na zdj.).

BRZYDKA TWARZ CASANOVY

Wenecki awanturnik Giacomo Casanova cieszy się sławą romantycznego bohatera. Jest to zasługą jego niesamowitych umiejętności autokreacji – udało mu się stworzyć swoją legendę dzięki napisanym przed śmiercią *Pamiętnikom*. Jednak jeśli spojrzymy na jego wynurzenia krytycznie, rzekomy „najwspanialszy z kochanków" okaże się... zwykłym łajdakiem – by nie użyć bardziej dosadnych słów.



NIE TAKI DIABEŁ ŁADNY...

Casanova wcale nie był urodziwy. Bardzo wysoki (prawie 190 cm) i chudy, miał ciemną karnację, wysokie czoło oraz wydatny nos. Jego przyjaciel książę Karol Józef de Ligne pisał o nim: „Byłby bardzo przystojnym mężczyzną, gdyby nie był taki brzydki", zaś Laurence Bergreen, autor wydanej w 2016 roku biografii weneckiego awanturnika, komentując portret swego bohatera, porównał go do... gęsi.

Dziewiętnastowieczny francuski krytyk Jules Janin jako jeden z niewielu nie uległ legendzie Casanovy. Włoskiemu awanturnikowi trzeba bowiem przyznać, że tak jak za życia umiejętnie bałamucił kobiety (wedle własnych obliczeń zaciągnął do łóżka 122 niewiasty), a czasami też i mężczyzn, tak po śmierci z kart książek i z ekranów uwodzi kolejne pokolenia. Myśląc o Wenecjaninie, mało kto podziela opinię Janina, który pisał: „Życie Casanovy to jedno bagno, jedno kazirodztwo, jedno wiarołomstwo od Paryża do Rzymu, jedna ruja i porubstwo, wszeteczeństwo i nierząd, praktykowane dzień po dniu, godzina za godziną".

Brutalna opinia Francuza tak dalece odbiega od rozpowszechnionej romantycznej legendy, że zmusza do zapytania: czy Janin aby nie przesadził? By wydać w tej sprawie werdykt, przyjrzyjmy się kilku epizodom z życia Casanovy...

„NIE" ZNACZY „TAK"

Gdy mowa o (anty)bohaterze tego artykułu, na myśl przychodzi nam wytworny dżentelmen zdobywający kobiece serca dowcipem, urokiem osobistym oraz doskonałymi manierami. Raczej nikt nie łączy nazwiska Casanovy z obrazem gwałciciela. Tymczasem obie wizje są równie prawdziwe, bo gdy wysublimowany, salonowy podryw nie przynosił rezultatów, „największy kochanek w historii" nie miał oporów przed zmuszaniem swych wybranek do uległości siłą.

Na początku 1746 roku 21-letni Giacomo z braku innych perspektyw zatrudnił się jako skrzypek. On i jego kompani z orkiestry nie mogli narzekać na mały ruch w interesie, gdyż w Wenecji akurat trwał karnawał.

eprasa.pl d83e96798c

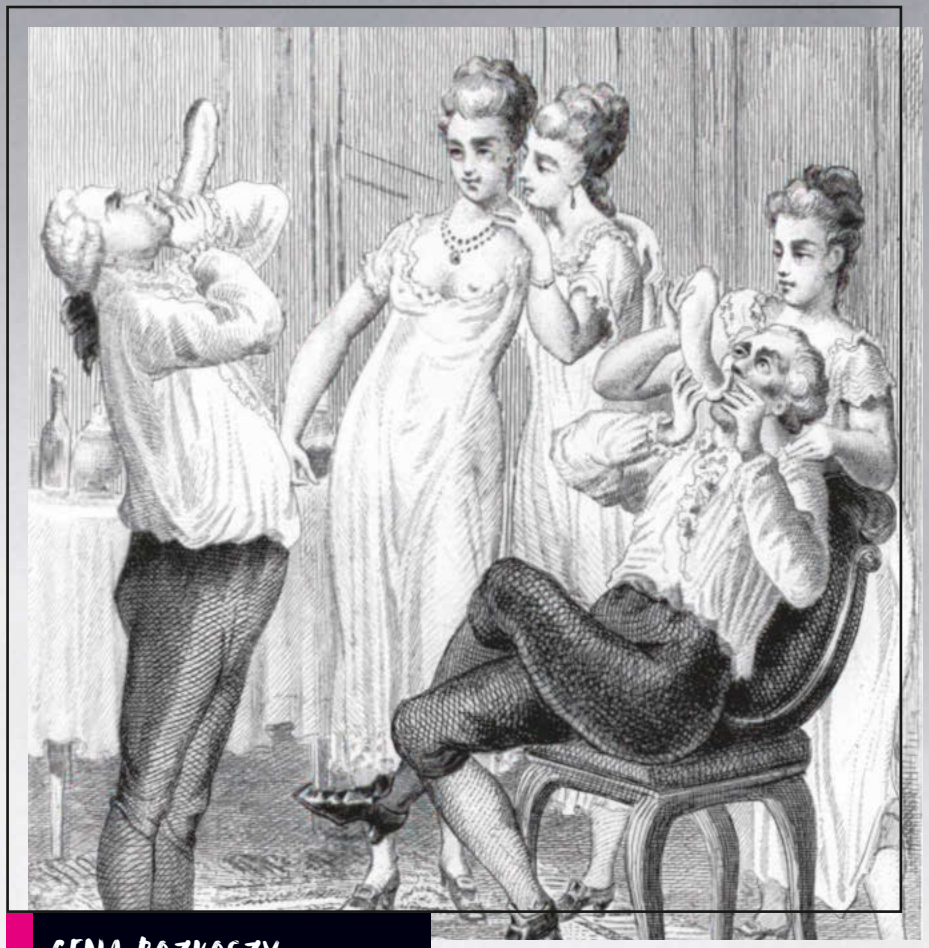
Po pracy Giacomo wraz z grupą towarzyszy krążyli zamaskowani nad kanałami, dokonując chuligańskich wybryków. Niekiedy zaś posuwali się do zbrodni...

Pewnej nocy ujrzeli w jednej z gospód piękność spożywającą kolację z trójką mężczyzn. Wdarli się do środka, wywlekli ofiary na ulicę i siłą zapakowali do gondoli. Męża niewiasty oraz jego przyjaciół wywieźli na wyspę San Giorgio Maggiore, zaś ją samą zabrali do tawerny Dwa Miecze nieopodal Rialto, gdzie ósemka młodzieńców, wliczając w to Casanovę, dokonała na nieszczęsnej zbiorowego gwałtu, po czym porzuciła poturbowaną kobietę na progu jej domu. Swój zbrodniczy postępek Giacomo i jego towarzysze postrzegali jako świetny kawał, zwłaszcza że z racji arystokratycznego pochodzenia szefa bandy uniknęli kary.

CZARNEJ MAGII WIELKI MISTRZ

Tego samego 1746 roku młody skrzypek odkrył żyłę złota, która miała zapewniać mu dochody przez prawie dwie następne dekady. Była nią czarna magia – a raczej umiejętność zwodzenia naiwnych bogaczy zainteresowanych sprawami paranormalnymi. Co ciekawe, sam Casanova pisał, iż „nie ma na świecie czarodziejów, co najwyżej ludzie potrafiący przekonać innych, że nimi są". W tej sztuce okazał się być mistrzem.

W kwietniu 1746 roku wracał właśnie z wesela, na którym przygrywał biesiadnikom. Tą samą gondolą płynął patrycjusz Matteo Bragadin. Dostojny mąż nagle dostał ataku, który Giacomo zidentyfikował jako apopleksję (najprawdopodobniej był to udar lub zawał). Kazał gondolierowi zawieźć ich do najbliższego medyka. Zabrawszy eskulapa na pokład, odeskortowali chorego do jego pałacu. Tam Bragadina położono do łóżka, ale gdy służba chciała odesłać Casanovę, ten uparł się, iż zostanie przy boku gospodarza. Tymczasem doktor nałożył na pierś pacjenta maść z rtęci, która tylko pogorszyła jego stan. Widząc to, Giacomo szybko starł smarowidło, co przyniosło pozytywny skutek. Następnie, choć nie miał wykształcenia medycznego, przegonił lekarza – oświadczając, że sam zajmie się cierpiącym. O dziwo, jego opieka przywróciła senatorowi zdrowie!



CENA ROZKOSZY

W bagażu Casanovy zawsze znajdował się komplet prezerwatyw. Uszyte z płótna lub wykonane z owczych jelit i zawiązywane u nasady członka wstążeczką były przedmiotami wielorazowego użytku, pranymi po każdym stosunku. Miały wątpliwą skuteczność, bo mimo ich stosowania Giacomo w ciągu swojego życia 11 razy chorował na rzeżączkę!

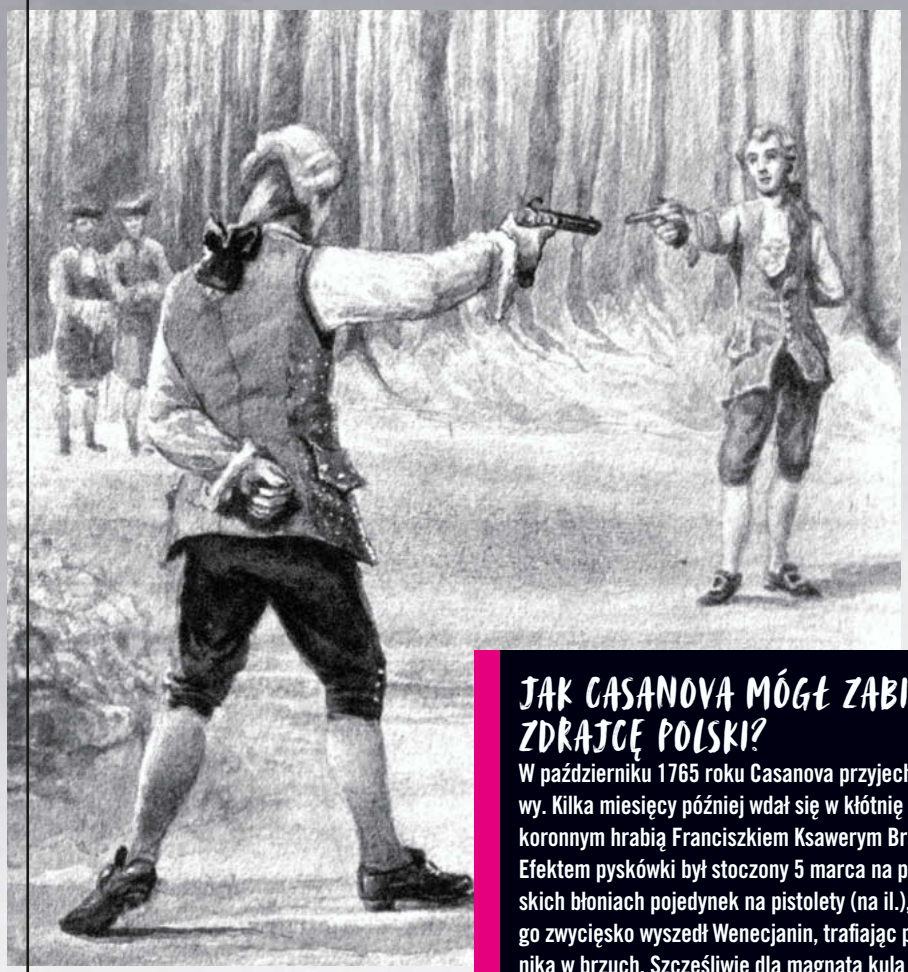
„BYŁBY BARDZO PRZYSTOJNYM MĘŻCZYZNĄ, GDYBY NIE BYŁ TAKI BRZYDKI"

KSIĄŻĘ KAROL JÓZEF DE LIGNE O CASANOVIE

Ocalony Bragadin dostał istnej obsesji na punkcie młodzieńca. Ten wkrótce odkrył, iż mężczyzna fanatycznie wierzy w okultyzm. Oświadczył więc nowemu przyjacielowi, że jest mistrzem sztuk mistycznych, a ich spotkanie było efektem przepowiedni, jaką otrzymał od swego opiekuńczego ducha. Gdy uraczył patrycjusza opowiastką o sędziwym pustelniku z Apeninów, który miał mu przekazać najtajniejsze sekrety kabały, senator zakwaterował Casanovę w pałacu, łożył na wszystkie jego wydatki, a do tego uczynił swym doradcą, prosząc nieustannie o konsultacje z duchami.

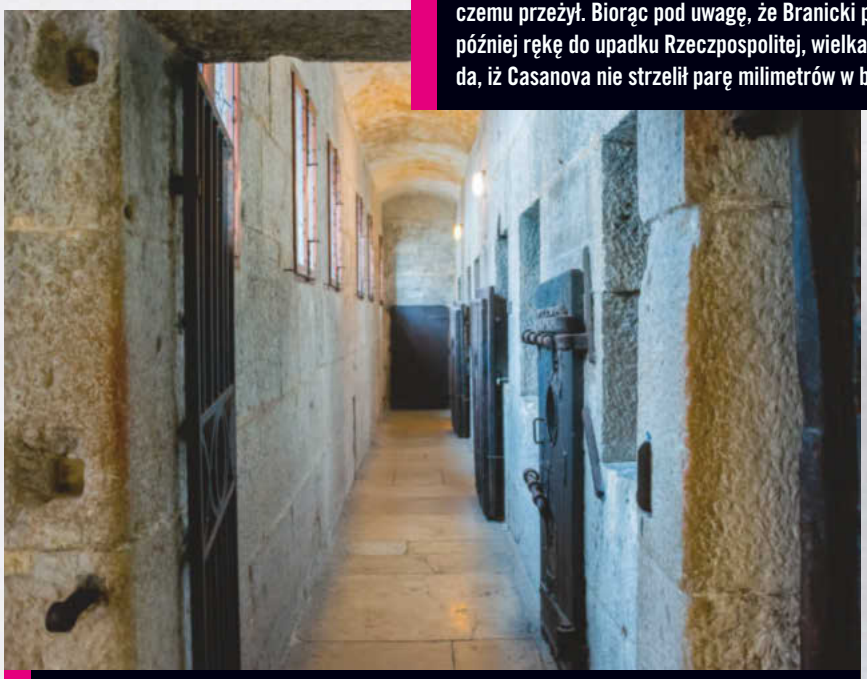
Giacomo z radością przyjął rolę mistrza czarnej magii, dokonując raz za razem skomplikowanych (i absurdalnych) kabalistycznych wyliczeń oraz gromadząc księgi wiedzy tajemnej, mające uwiarygodnić całą farsę. >

eprasa.pl d83e96798c



JAK CASANOVA MÓGŁ ZABIĆ ZDRAJCĘ POLSKI?

W październiku 1765 roku Casanova przyjechał do Warszawy. Kilka miesięcy później wdał się w kłótnię z podstolim koronnym hrabią Franciszkiem Ksawerym Branickim. Efektem pyskówki był stoczony 5 marca na podwarszawskich błoniach pojedynek na pistolety (na il.), z którego zwycięsko wyszedł Wenecjanin, trafiając przeciwnika w brzuch. Szczęśliwie dla magnata kula ominęła o włos narządy wewnętrzne i wyszła drugą stroną, dzięki czemu przeżył. Biorąc pod uwagę, że Branicki przyłożył później rękę do upadku Rzeczpospolitej, wielka szkoda, iż Casanova nie strzelił parę milimetrów w bok...



WIELKA UCIECZKA

Po aresztowaniu przez inkwizycję Casanova został osadzony w budzącym grozę weneckim więzieniu Piombi na strychu Pałacu Dożów (na zdj.). Po piętnastu miesiącach udało mu się zbiec i umknąć za granicę. Był to jedyny w dziejach Republiki Weneckiej przypadek ucieczki z jej najsroższego więzienia.

Bezwstydnie żerował na łatwowiernym patrycjuszu przez prawie dekadę. W roku 1755 okazało się, że grał swą rolę aż za dobrze – 26 lipca wenecka inkwizycja państwowa aresztowała samozwańczego czarodzieja pod zarzutem uprawiania czarnej magii. Po kilkunastu miesiącach udało mu się uciec z więzienia i zbiec przez Niemcy do Paryża.

KOCHANEK CUDOWNEJ WARIATKI

W stolicy Francji Casanova powtórzył sztuczkę. Zdołał otumanić zafascynowaną alchemią wdowę markizę Joannę d'Urfe i dołączył do gromadki nadskakujących jej rzekomych magów. Kiedy czyta się relacje Wenecjanina, aż trudno uwierzyć, że jego ofiara bez mrugnięcia okiem przyjmowała bzdury, którymi ją karmił – on sam miał problem, by się nie roześmiać, gdy je opowiadał! Jej przychylność mogła mieć związek z faktem, że „mistrz czarnej magii" okazjonalnie odwiedzał ją w alkowie. Tak czy owak, hojnie obsypywała go pieniędzmi.

Na naiwności markizy, którą nazywał „cudowną wariatką", żerował przez sześć lat, a ukoronowaniem tego szwindlu był mistyczno-erotyczny rytuał, w wyniku którego wskutek zaklęć, kąpieli w świetle księżyca, lesbijskiego seksu z dziewicą (w rzeczywistości panną lekkich obyczajów) i stosunku z samym Casanovą arystokratka miała zajść w ciążę, a następnie urodzić chłopca będącego... reinkarnacją matki. Po skończonej ceremonii patronka rzekomego maga oświadczyła, że teraz musi on pojąć ją za żonę, by jej nowe wcielenie nie było bękartem. Ale tego szaleństwa już nawet dla Wenecjanina było za wiele, więc dał nogę do Anglii. O markizie d'Urfe usłyszeć miał jeszcze pod-

eprasa.pl d83e96798c

czas kolejnej wizyty we Francji kilka lat później, gdy pechowo natknął się na siostrzeńca szlachcianki. Ten, rozpoznawszy oszusta, który „oskubał" jego ciotkę, doprowadził do wydalenia Casanovy z kraju.

CHODŹ DO TATUSIA

Kolejny punkt na liście łajdactw Casanovy jest najobrzydliwszy. W 1760 roku wenecki awanturnik przebywał w Neapolu, gdzie zaskarbił sobie przyjaźń księcia Malatony. Ten tak polubił Giacomo, że udostępnił mu swą lożę w teatrze, a także... kochankę – piękną nastolatkę imieniem Leonilda. Sam arystokrata utrzymywał ją tylko dla względów wizerunkowych, bo jako impotent nie mógł korzystać z jej wdzięków. Casanovie młódka wydała się bardzo ponętna, a nowy przyjaciel przekonał go, by wzięli ślub. Wkrótce Giacomo wraz z narzeczoną udał się do przyszłej teściowej. Ledwie jednak ujrzał matkę dziewczyny, z wrażenia musiał usiąść – okazała się nią bowiem jego dawna kochanka, Lukrecja Castelli. Co więcej, uświadomiła mu, że Leonilda to ich wspólna córka! Myśl o złamaniu najświętszego tabu tak podnieciła degenerata, że natychmiast zabrał obie panie do łóżka. Co prawda nastolatka „tylko" asystowała przy

„NIC NIE ODBIERZE MI TEGO, ŻE DOBRZE SIĘ ZABAWIŁEM"
GIACOMO CASANOVA

stosunku rodziców, ale niestety nie był to koniec tej kazirodczej historii. Do następnego spotkania Giacomo z córką doszło ponad dekadę później. Dumny ojciec był tak zachwycony, jak rozwinęło się jego dziecko, że tym razem bez oporów wziął Leonildę do łoża, twierdząc, że „jako rodzic ma do niej pełne prawa". Po dziewięciu miesiącach na świat przyszedł ich potomek, czyniąc z Casanovy równocześnie ojca i dziadka.

Jak widać, Giacomo Casanova był w rzeczywistości seksualnym przestępcą, oszustem i dewiantem. Skreślone przez Julesa Janina zdanie stanowi chyba najlepsze podsumowanie życia człowieka, uczynionego przez popkulturę archetypem „doskonałego kochanka". Krytyka literackiego zapewne powaliłby atak apopleksji, gdyby mu powiedziano, że w 2010 roku francuska Biblioteka Narodowa wyłoży 9 mln dolarów na zakup rękopisu *Pamiętników* – największą w jej dziejach kwotę przeznaczoną na pojedynczą transakcję.

A jak zareagowałby na to główny zainteresowany? Cóż, zapewne umocniłoby go to w dobrym samopoczuciu. Casanova był bowiem tak cyniczny – albo tak pozbawiony sumienia – że do końca swych dni deklarował, iż miał większy pociąg do cnoty niż występku...

ŁUKASZ CZARNECKI

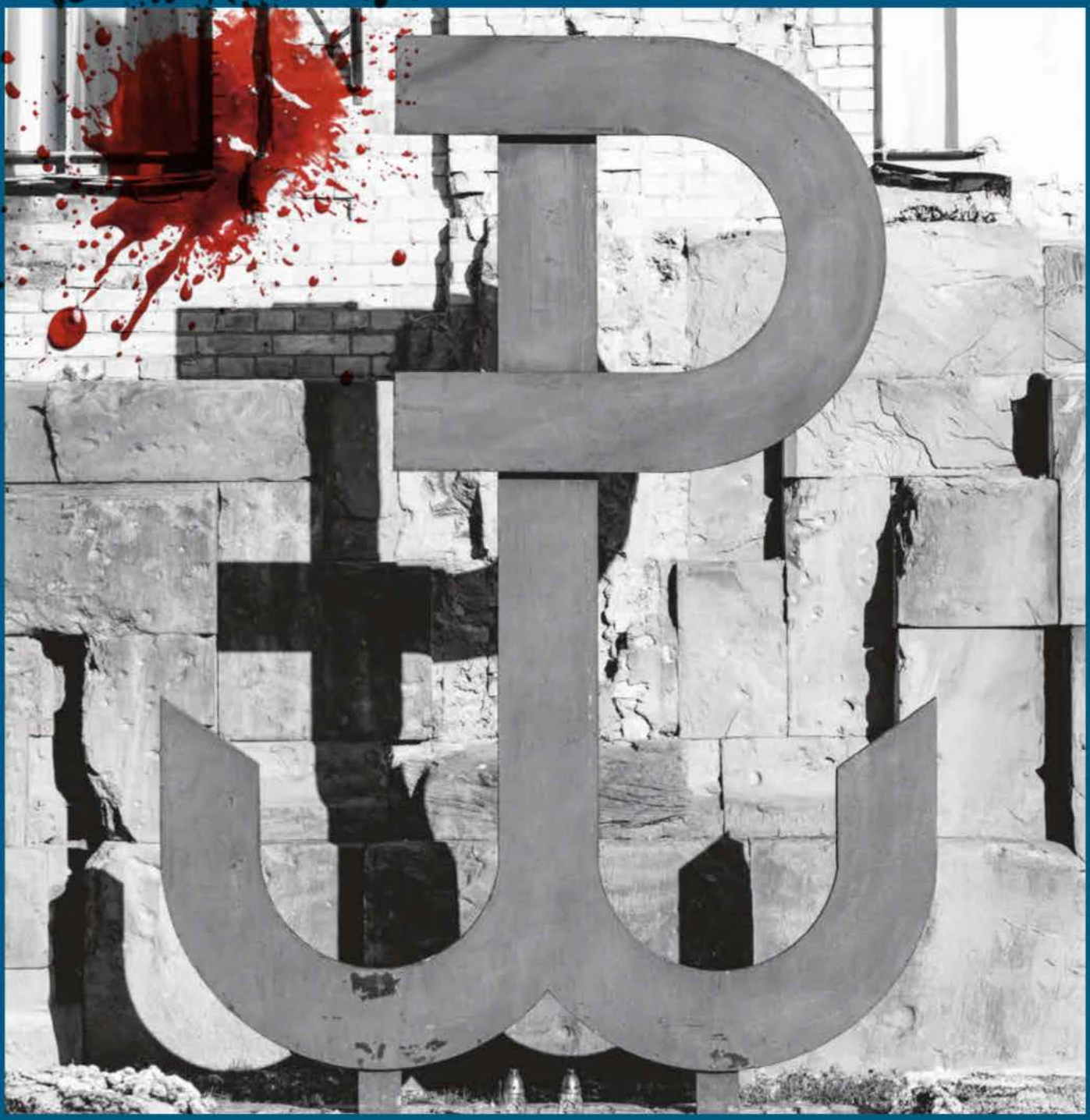
KLASZTORNE GRZECHY

Na długiej liście erotycznych podbojów Casanovy znalazły się także... zakonnice. W 1753 roku wdał się w ognisty romans z mniszką Marią Eleonorą z konwentu na wyspie Murano, gdzie – z woli rodziny – przebywała również inna z jego kochanek. Ku zaskoczeniu obie zgodziły się dzielić jego względy. Pamiątką po tej przygodzie był medalion z wizerunkiem pogrążonej w modlitwie Marii Eleonory, skrywający miniaturowy akt przedstawiający nagą zakonnicę w zmysłowej pozie. Warto przy tym dodać, że żadna z odzianych w habity wybranek Giacomo nie wyróżniała się szczególnym zdemoralizowaniem – weneckie klasztory żeńskie uchodziły wówczas raczej za gniazda rozpusty niż strażnice pobożności (poniżej kadr z filmu *Dzieciństwo, powołanie i pierwsze przeżycia Giacomo Casanovy z Wenecji* w reżyserii Luigiego Comenciniego).



eprasa.pl/d83e96798c

ZDJĘCIA I ILUSTRACJE: Adobe Stock; Mega Film, Mary Evans Picture Library/East News (2); Wikimedia Commons (2)



POLSKA PODZIEMNA

eprasa.pl d83e96798c

W powszechnej świadomości polski ruch oporu w trakcie II wojny światowej to głównie Armia Krajowa. Ale taki obraz jest niepełny – na okupowanych terenach funkcjonowało bowiem wiele innych organizacji zbrojnych, często skonfliktowanych z AK.

Końcówka września 1939 roku. Rządu nie ma już w kraju, ale wojska ciągle walczą. Wszystko wskazuje jednak na to, że żadnego cudownego zwrotu akcji nie będzie i II RP znajdzie się pod niemiecką oraz sowiecką okupacją. Na dzień przed kapitulacją Warszawy na rozkaz gen. Juliusza Rómmla powstaje Służba Zwycięstwu Polski. Na jej czele staje gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz. Półtora miesiąca później SZP zostanie wchłonięta przez Związek Walki Zbrojnej, który w lutym 1942 roku zmieni się w Armię Krajową. Ale nie wszyscy chętni do walki z okupantem są gotowi podporządkować się rozkazom „sanacyjnych" dowódców, obwinianych o wrześniową klęskę.

„INŻYNIER" I MUSZKIETERZY

Tajemniczy Muszkieterzy i dowodzący nimi „Inżynier" z bestsellerowej powieści Szczepana Twardocha *Morfina* to wcale nie fikcja literacka. Założona w październiku lub listopadzie 1939 roku przez kpt. Stefana Witkowskiego organizacja była jedną z najbardziej zakonspirowanych spośród działających na okupowanych ziemiach. Sam Witkowski, który posługiwał się wieloma pseudonimami („Kapitan", „Doktor Zet", „Dyrektor", „Tęczyński", „Kaniewski" i wreszcie „Inżynier"), w okresie dwudziestolecia międzywojennego pracował nad konstrukcjami łodzi i silników. Miał też powiązania z wywiadem. Jak twierdził Jerzy Rostkowski, autor książki *Świat Muszkieterów. Zapomnij albo zgiń*, to właśnie tajne służby opłacały jego naukę i działalność wynalazczą.

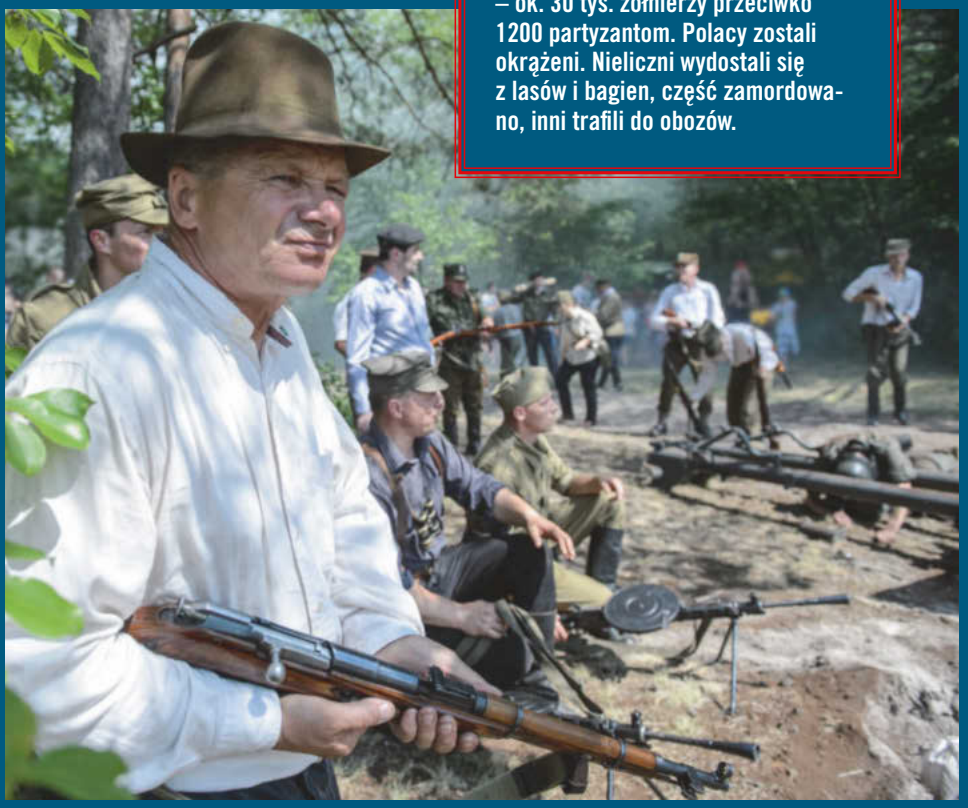
We wrześniu 1939 roku dowodził oddziałem dywersyjnym ochrzczonym przez gen. Franciszka Kleeberga „muszkieterami" (od prawie dwumetrowych karabinów przeciwpancernych), co później przyjął jako nazwę swojego ugrupowania. Zrzeszało ono przede wszystkim młodych oficerów. Mieli rozległe kontakty agenturalne, regularne meldunki przekazywali m.in. brytyjskim służbom. Niektórzy historycy uważają nawet, że była to największa w krajach okupowanych organizacja szpiegowska. Pomagała też w przerzucie polskich żołnierzy do Francji.

W końcu o Muszkieterów upomniał się ZWZ, do którego przystąpili w grudniu 1941 roku, choć Witkowski nie zgodził się na ujawnienie agentów głębokiego wywiadu na terenie Rzeszy. Za tę niesubordynację Stefan „Grot" Rowecki, przywódca ZWZ (zamienionego wówczas w AK), pozbawił go stanowiska. Na tym nie poprzestano. „Inżyniera" oskarżono o współpracę z nazistami i skazano na śmierć. Wyrok wykonali żołnierze AK przebrani w mundury niemieckich żandarmów – stąd oficjalnie winą obarczano hitlerowców. Do ciała kpt. Witkowskiego przypięto karteczkę z napisem: „Największy polski bandyta".

Faktyczne powiązania Witkowskiego z okupantem są niejasne. Przed atakiem III Rzeszy na ZSRR przekazywał informacje wywiadowi sowieckiemu. Później porozumiał się z Abwehrą, najprawdopodobniej była to jednak gra, choć nie jest pewne, jaki był jej ostateczny cel. >

PARTYZANCKIE TERMOPILE

W czerwcu 1944 roku pod Osuchami na Lubelszczyźnie doszło do jednej z największych potyczek polskich bojowników (AK i BCh) z Wehrmachtem (na zdj. rekonstrukcja). Niemiecka przewaga była miażdżąca – ok. 30 tys. żołnierzy przeciwko 1200 partyzantom. Polacy zostali okrążeni. Nieliczni wydostali się z lasów i bagien, część zamordowano, inni trafili do obozów.



eprasa.pl d83e96798c



UWALNIANIE WIĘŹNIÓW

Formacje partyzanckie z różnych ugrupowań brały na celownik hitlerowskie więzienia. Do najsłynniejszych tego typu akcji należały: rozbicie niemieckiej katowni w Mielcu przez oddział „Jędrusie" (grupa konspiracyjna Odwet; uwolniono wówczas 180 osób), przeprowadzone przez AK operacje w Pińsku (43 osadzonych) i Jaśle czy dwa zbrojne ataki Batalionów Chłopskich na placówkę w Pińczowie (281 więźniów). Niektóre grupy już po wyzwoleniu spod niemieckiej okupacji podejmowały się podobnych działań względem więzień komunistycznych, m.in. w Miechowie (na zdj. rekonstrukcja).

„Inżynier" próbował nawiązać łączność z armią Andersa, podobno kontaktował się także z marszałkiem Rydzem-Śmigłym, aby pomóc mu przejąć dowództwo w polskim podziemiu. Czy wyrok był słuszny, czy też była to zemsta Roweckiego za nieposłuszeństwo? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy.

POD CZERWONYM SZTANDAREM

Polski ruch komunistyczny przechodził fazy wzlotów i upadków, a za jego przedwojenną zagładą nie stała sanacja, lecz... Związek Radziecki i stalinowskie czystki. Od początku wojny pojawiło się kilka niezbyt znaczących organizacji konspiracyjnych, jak Młot i Sierp, ale dopiero po utworzeniu w styczniu 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej (Stalin zakazał używania w nazwie słowa „komunistyczna", żeby nie zniechęcać ewentualnych kandydatów) powstało w marcu zbrojne ramię ruchu – Gwardia Ludowa. Co ciekawe, takie samo miano nosiły liczniejsze oddziały formowane już od 1939 roku pod sztandarem Polskiej Partii Socjalistycznej, które ściśle współpracowały z Armią Krajową.

Zbieżność nazw mogła, a nawet miała wprowadzać w błąd, zwłaszcza że komuniści prezentowali się często jako przedstawiciele polskiego rządu i PPS. Partyzantka GL przeprowadzała akcje dywersyjne, odwetowe czy wręcz szpiegowskie. Atakowano transporty, dokonywano zamachów na członków nazistowskich władz. Głównym dowódcą został Bolesław Mołojec, którego pech nie opuszczał od momentu, gdy przybył do okupowanej Polski ze Związku Radzieckiego. Najpierw Niemcy aresztowali i zamordowali jego rodziców. Następnie w listopadzie 1942 roku zginął działacz komunistyczny Marceli Nowotko – Mołojec był ostatnią osobą, która widziała go żywego. Niejasne zeznania zrobiły z niego podejrzanego, a szefostwo PPR nakazało jego likwidację.

ZBRODNIA W WIERZCHOWINACH

W czerwcu 1945 roku oddziały NSZ dowodzone przez Mieczysława Pazderskiego ps. „Szary" dokonały zbrodni na ludności wsi Wierzchowiny (woj. lubelskie). Miał to być odwet za popieranie komunizmu. Partyzanci weszli do miejscowości przebrani w mundury Wojska Polskiego, co zmyliło czujność mieszkańców. Ofiarą mordu padło 196 osób, choć niektóre źródła mówią o blisko 400 zabitych. Główne siły NSZ zostały później rozgromione po pościgu oddziału NKWD.



eprasa.pl d83e96798c



Ale Gwardia Ludowa rozwijała się dalej. Kadrę nierzadko stanowili weterani walk w hiszpańskiej wojnie domowej – żołnierze brygady im. Jarosława Dąbrowskiego, tzw. dąbrowszczacy. Wielu z nich zostało pojmanych i zamordowanych przez Niemców w pierwszych latach działania GL.

W początkowym okresie powstało około 30 oddziałów partyzanckich. Zajmowały się m.in. niszczeniem transportów kolejowych, często poprzez rozkręcanie szyn (z braku zaopatrzenia w materiały wybuchowe). Do końca 1942 roku gwardziści wykoleili blisko 30 pociągów, a rok później – już 169. Przeprowadzali też akcje uwalniania więźniów: oswobodzili około 350 żydowskich robotników przymusowych z obozu w Janiszowie (7 listopada 1942 roku), 100 więźniów z obozu pracy w Zakrzówku (28 listopada 1942 roku) oraz 30 z aresztu w Zwoleniu (7 maja 1943 roku).

MAŁA WOJNA DOMOWA

GL działała także w stolicy, atakując kawiarnie i restauracje dla okupantów, takie jak Cafe Club, gdzie dokonała odwetu za zamordowanie 50 więźniów Pawiaka. Gwardia pomagała również w trakcie powstania w getcie warszawskim, dostarczając broń i ewakuując ostatnich walczących (we współpracy z Armią Krajową i Korpusem Bezpieczeństwa).

W powojennych relacjach Żydów pojawia się zresztą opinia, że z polskich grup oporu jedynie Gwardia Ludowa nie była antysemicka. Jednak jej partyzanci często przeprowadzali napady na wsie czy dworki – i mieli na swoim koncie rabunki, gwałty oraz mordy.

Relacje GL z największą organizacją konspiracyjną w kraju nie były pozbawione wrogości. Wspólne akcje bojowe często odbywały się wbrew zakazom ze strony Komendy Głównej Armii Krajowej. Już w grudniu 1942 roku wywiad AK nakazał „traktowanie PPR na równi z nieprzyjacielem". Sześć miesięcy później na rozkaz dowództwa obwodu AK w Grójcu zastrzelono pięciu członków Gwardii Ludowej oraz matkę jednego z nich. Podobnych zabójstw było więcej.

Coraz częściej przewijało się hasło „rozpoczęcia wojny domowej". Oficerowie Armii Krajowej niejednokrotnie rozstrzeliwali partyzantów GL bez żadnego sądu, a z czasem też dowódcy Gwardii zlecali zabójstwa wysoko postawionych AK-owców. Role miały się jednak odwrócić. W styczniu 1944 roku licząca nieco ponad 14 tys. ludzi GL przekształciła się w Armię Ludową. Wraz z postępującą ofensywą radziecką stało się jasne, że będzie to formacja nowej władzy, a do jej zadań – oprócz walki z Niemcami – miało także należeć rozbicie i zniszczenie podziemia niepodległościowego. >

RÓŻNE ODCIENIE CZERWIENI

Gwardia Ludowa miała w swoich szeregach wielu żołnierzy przerzuconych ze Związku Radzieckiego. Mimo to wsparcie ze strony ZSRR było niewielkie – jeszcze w 1944 roku Władysław Gomułka słał do Moskwy rozpaczliwe depesze z prośbą o zaopatrzenie, ale Stalin nie ufał polskim komunistom. Nie była to również organizacja jednorodna: skupiała także ludzi o poglądach nacjonalistycznych i antysemickich, takich jak późniejszy szef MSW Mieczysław Moczar (na zdj. w środku). Po wojnie wielu kombatantów z GL objęło ważne funkcje państwowe, lecz niektórzy (jak Marian Spychalski) byli w okresie stalinowskim prześladowani.

eprasa.pl d83e96798c

ŻYWIĄ I BRONIĄ



Gdy w 1940 roku powstawały Bataliony Chłopskie (BCh), ZWZ był temu przeciwny. Wcześniej to właśnie w jego szeregi wstępowały osoby związane z ruchem ludowym, ale zbyt sanacyjny i „pański" charakter organizacji okazał się dla nich nie do przyjęcia.

Czwartego sierpnia 1940 roku we wsi Grabiec, w gospodarstwie Jana Paska narodziła się tzw. Chłopska Straż. Szybko zaczęła pozyskiwać mieszkańców wsi chcących walczyć z okupantem. Od października 1940 roku aż do końca wojny komendantem organizacji przemianowanej na Bataliony Chłopskie był Franciszek Kamiński. Działała ona głównie w rejonach wiejskich, ale brała też udział w ważnych operacjach związanych z przekazywaniem aliantom cennych informacji o rakietach V1 i V2. Jeden z dowódców BCh dostarczył 13 części tej drugiej broni.

W szczytowym momencie Bataliony liczyły nawet 170 tys. żołnierzy i były drugą pod względem wielkości organizacją konspiracyjną. Traktując jako pierwszoplanową ochronę ludności wiejskiej, funkcjonowały głównie na prowincji. Przez całą wojnę członkowie BCh dokonali ponad 3000 różnego rodzaju akcji i stoczyli około 900 potyczek z wrogiem.

Bataliony wsławiły się w trakcie powstania na Zamojszczyźnie, z której Niemcy planowali wysiedlić wszystkich Polaków. Zgodnie z zamysłem Heinricha Himmlera zamierzano stworzyć tam pas osiedleńczy dla obywateli III Rzeszy. W grudniu 1942 roku BCh rozpoczęły działania w regionie. Palono wsie przeznaczone dla kolonistów, po ataku na areszt uwolniono uwięzionych z powodu wysiedleń. Trzydziestego grudnia pod Wojdą wspólnie z sowieckim oddziałem partyzanckim stoczono zakończoną zwycięstwem bitwę z wojskami Wehrmachtu – pierwszą taką podczas wojny.

Działania w ramach powstania zamojskiego bywały bezwzględne. Pa-

ANTYBOHATEROWIE OSTATNIEJ AKCJI

Część Narodowych Sił Zbrojnych w 1944 roku zdecydowała się na scalenie z Armią Krajową. Pozostali utworzyli Brygadę Świętokrzyską, która liczyła ponad 1400 żołnierzy. Skupiała ona najbardziej radykalnych członków NSZ, znanych z poglądów faszystowskich. Mordowała komunistów, partyzantów (głównie z GL) oraz Żydów. Współpracowała też (pomimo kilku potyczek) z Niemcami. Pod koniec wojny, gdy na horyzoncie pojawiły się amerykańskie wojska, przebywająca w Czechach Brygada uwolniła więźniarki z obozu w Holiszowie. Dzięki temu niektórzy jej żołnierze bezpiecznie przedostali się na zachód.



eprasa.pl d83e96798c



ZAPOMNIANE POWSTANIE

Aktion Zamość to niemiecka akcja wysiedlania ludności polskiej z Zamojszczyzny. Między listopadem 1942 a sierpniem 1943 roku przepędzono ok. 110 tys. Polaków (w tym 30 tys. dzieci), których miejsce miało zająć 60 tys. kolonistów z III Rzeszy. Zdołano ściągnąć na miejsce zaledwie 12 tys. z nich, bowiem działania okupanta sprowokowały wybuch powstania zamojskiego. Współpracowały przy nim oddziały BCh, AK, GL, a nawet partyzantów sowieckich. Doprowadziło to do wstrzymania operacji na kilka miesięcy.

lenie miejscowości zajętych przez nowych, niemieckich mieszkańców realizowano na dużą skalę, często z ofiarami śmiertelnymi, jak we wsi Cieszyn, gdzie zginęło 160 osób. Spowodowało to niepokój wśród nazistowskich dowódców, którzy zadecydowali o tymczasowym zaprzestaniu wysiedleń.

Żołnierzom Batalionów powiodło się także rozbicie więzienia w Pińczowie, gdzie przetrzymywano chłopów odmawiających oddawania produktów rolnych i hodowlanych (wcześniej kilkuset innych zostało zamordowanych). Partyzanci przeprowadzili akcję 10 czerwca 1944 roku. Przerwali łączność, wysadzili bramę placówki, a następnie uwolnili 281 osób. W lipcu nastąpił kolejny podobny atak, po którym do końca wojny więzienie nie było już wykorzystywane.

Na potrzeby walk z Niemcami Bataliony często zawierały sojusze zarówno z AK, jak i komunistami czy nawet partyzantami sowieckimi. W maju 1943 roku podpisano porozumienie o scaleniu z Armią Krajową, które jednak nigdy nie zostało całkowicie przeprowadzone, a żołnierze z BCh zasilili też inne organizacje. Problemem była głównie sanacyjna przeszłość działaczy AK. Jeszcze większą niechęć dowódcy i członkowie Batalionów czuli w stosunku do Narodowych Sił Zbrojnych – chyba najbardziej kontrowersyjnej grupy w polskim ruchu oporu.



PRZECIWKO WSZYSTKIM

„Bandy te wszystkich swoich przeciwników dzielą na »komunistów« i »bandytów« i gdzie się daje, tam katują i mordują" – napisano w jednym z pism ludowców o NSZ. Ta trzecia co do wielkości organizacja, utworzona we wrześniu 1942 roku z kilku mniejszych grup, liczyła w szczytowym okresie około 70 tys. członków. Wywodziła się z osób sympatyzujących z przedwojenną endecją. Od początku NSZ wzbudzały kontrowersje. Do ich największych sukcesów należało m.in. zlikwidowanie gen. Kurta Rennera, najwyższego stopniem niemieckiego oficera zabitego przez polskie podziemie. Członkowie ugrupowania brali także udział w atakach na więzienia, składy kolejowe czy magazyny broni. Czasem jednak wchodzili z okupantem w porozumienia, uważając, że Niemcy mogą stanowić przeciwwagę dla Sowietów. Na równi z nazistami walczyli z oddziałami Gwardii Ludowej, byli też oskarżani o liczne mordy na ludności żydowskiej. Najbardziej radykalne jednostki NSZ-ONR ścierały się nawet z bojownikami Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej. W toku wojny żołnierze NSZ zabili setki innych partyzantów, głównie powiązanych z komunistami.

Przez sześć lat okupacji powstało również wiele mniejszych organizacji, takich jak Konfederacja Narodu, Korpus Bezpieczeństwa czy Ludowy Związek Kobiet. W tej bogatej mozaice ruchu oporu antyhitlerowskiego nie było niestety jednomyślności. Wzajemne animozje z czasów II Rzeczpospolitej przeniosły się na okres wojny i nie wygasły nawet w obliczu wspólnego wroga. „Pogodzić" je miał dopiero PRL i siłowe wprowadzenie w Polsce władzy ludowej.

TOMASZ KILIAN

„POLNISCHE BANDITEN"

W trakcie wojny Niemcy przyjęli doktrynę Bandenbekämpfung, czyli traktowania członków ruchu oporu jak bandytów. Prowadzono liczne akcje, a partyzantów rozstrzeliwano lub wieszano bez sądu. Przykładowo po bitwie pod Osuchami 60 osób zamordowano w Rapach (na zdj. schwytani bojownicy). Wydana w 1942 roku przez Hitlera dyrektywa 46 zachęcała do jeszcze większej brutalizacji działań.



KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wyplewski
ZDJĘCIA: Wikimedia Commons (2); Instytut Pamięci Narodowej (2); Shutterstock; Adobe Stock; Laski Diffusion/East News; RSW/Forum; Wojciech Pacewicz/PAP (2); mat. redakcyjne/AI



PIĄTA WŁADZA

JAK FACEBOOK I SPÓŁKA OBALAJĄ RZĄDY?

Kiedyś, aby zdetronizować władcę lub wyeliminować opozycję, potrzebne były armaty, barykady i gilotyny. Dziś wystarczy... wiralowy post. Od kartonowej rewolucji nad Wisłą, przez zmanipulowane wybory w USA, po ludobójstwo w Mjanmie – wpływ social mediów na globalną politykę jest większy, niż mogłoby się wydawać. Jak lajki i hashtagi stały się bronią w walce o panowanie nad światem?

eprasa.pl d83e96798c

NAJWIĘKSI WYGRANI

Algorytmy portalu Marka Zuckerberga walnie przyczyniły się do zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach w 2016 roku. Osiem lat później na rzecz polityka otwarcie agitował Elon Musk, właściciel X (dawniej Twitter). Technologiczni giganci nie robili tego z dobroci serca – dzień po zwycięstwie Trumpa wartość majątku Muska wzrosła o 26,5 mld dolarów. Również szef Facebooka zarabiał na kampanii republikanina rekordowe kwoty.



WIĘŹNIOWIE ALGORYTMÓW

Lista narzędzi, za pomocą których media społecznościowe manipulują naszymi wyborami – również politycznymi – jest długa. To m.in. syntetyczna dezinformacja (treści przerobione lub całkowicie wygenerowane przez AI), targetowanie psychologiczne (podsuwanie materiałów w oparciu o analizę osobowości użytkownika), cenzura algorytmiczna (odgórne blokowanie postów poruszających „zakazane tematy"), promowanie nienawiści, przechwytywanie uwagi czy wymuszanie zaangażowania (np. przez sztuczne wzbudzanie kontrowersji).

eprasa.pl d83e96798c

SOJUSZ CHIN I



Od lipca 2009 roku Facebook (podobnie jak inne zachodnie serwisy, m.in. X czy YouTube) jest w Państwie Środka zakazany. Najwyraźniej jednak Wielki Mur Cyfrowy (tzw. Great Firewall) nie jest całkiem szczelny, skoro od lat ChRL pozostaje drugim pod względem wpływów rynkiem dla tej platformy, ustępując w tej kwestii jedynie Stanom Zjednoczonym. W 2024 roku chińscy reklamodawcy wydali przeszło 18 miliardów dolarów na Facebooku, Instagramie i WhatsAppie, aby dotrzeć do zagranicznych konsumentów, co stanowiło ponad 10% globalnych przychodów Mety. Ale ta biznesowa współpraca sięga znacznie głębiej – i ma zdecydowanie bardziej mroczne oblicze.

W 2025 roku była dyrektorka ds. globalnej polityki publicznej Facebooka Sarah Wynn-Williams ujawniła, że za cenę umożliwienia mu wejścia na rynek liczący w 2015 roku ponad 650 milionów internautów Mark Zuckerberg był gotowy na szeroko zakrojoną współpracę z Komunistyczną Partią Chin. W listach do tamtejszych władz miał oferować dostęp do danych użytkowników oraz poparcie w walce z „terrorystami" (czyli de facto obrońcami praw człowieka, Ujgurami czy Tybetańczykami). Na polecenie szefa Mety zaczęto też ponoć budować oprogramowanie do cenzurowania treści, np. masowego kasowania postów w rocznice protestów na Placu Tiananmen, blokowania konkretnych regionów, by uniemożliwić ich mieszkańcom komunikację poprzez social media, lub uciszania opozycji (bodaj najgłośniejszym przykładem było trwałe usunięcie na żądanie Pekinu facebookowego konta miliardera Guo Wenguiego w 2017 roku).

RYZYKOWNA GRA

Państwo Środka to dla technologicznych gigantów łakomy kąsek: w 2025 roku liczba użytkowników internetu przekroczyła tam 1,12 mld. To największy rynek cyfrowy na świecie, ale w dużej mierze pozostaje zamknięty dla zachodnich korporacji. Aby ominąć brak oficjalnych licencji, Facebook uruchomił w Chinach kilka aplikacji (m.in. Colorful Balloons, będącą klonem Moments) pod szyldem spółki-słupa IvyCo. Firma ukrywała powiązania tych produktów z platformą Marka Zuckerberga, działając na granicy chińskiego prawa i ryzykując bezpieczeństwo swoich lokalnych pracowników.

eprasa.pl d83e96798c

FACEBOOKA

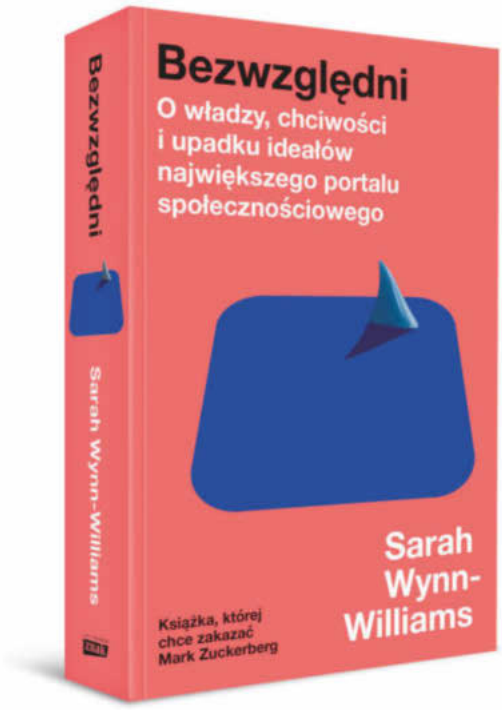
Kierownictwo firmy miało przy tym pełną świadomość, że taka współpraca może doprowadzić do aresztowań, tortur, a nawet śmierci przeciwników reżimu. Jednocześnie przygotowywano instrukcje dla Zuckerberga, pouczające go, jak wymijająco odpowiadać przed Kongresem na pytania o cenzurę, by nie przyznać wprost, że jego korporacja na zamówienie dyktatury stworzyła narzędzia do tłumienia wolności słowa.

– *Nawet „własny" amerykański rząd był okłamywany przez Facebooka, a jednak trudno sobie wyobrazić, żeby któraś administracja wyciągnęła w stosunku do tej firmy daleko idące konsekwencje* – komentuje w rozmowie ze Światem Wiedzy kognitywista Jacek Mańko, badacz i wykładowca technologii i społeczeństwa cyfrowego z Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie. – *To może zaskakiwać, ale widocznie Amerykanie są w stanie puścić płazem to potajemne dogadywanie się z Chinami, skoro Facebook wciąż jest jedną z największych spółek technologicznych*.



CHIŃSKI ŁĄCZNIK
Szef Facebooka próbuje zdobyć przychylność władz ChRL wszelkimi sposobami. Uczył się mandaryńskiego, a w 2016 roku poleciał do Pekinu, by wziąć udział w China Development Forum. Spotkał się tam m.in. z szefem propagandy Państwa Środka Liu Yunshanem oraz założycielem serwisu Alibaba Jackiem Ma (po prawej). Ten ostatni wsparł starania Zuckerberga w kwestii wejścia na rynek azjatyckiego mocarstwa, mówiąc, że Amerykanin szanuje lokalną kulturę i wcale nie chodzi mu o pieniądze...

KARTA PRZETARGOWA
Według byłej dyrektorki ds. globalnej polityki publicznej Facebooka Sarah Wynn-Williams Mark Zuckerberg wyraził gotowość udostępnienia danych użytkowników jego platformy z Hongkongu chińskiemu rządowi, traktując je jako kartę przetargową w negocjacjach dotyczących wejścia na tamtejszy rynek. Planował zmusić internautów do zaakceptowania nowej Umowy o świadczeniu usług, która zawierałaby warunek przekazywania informacji Pekinowi. Osoby, które nie wyraziłyby na to zgody, straciłyby dostęp do serwisu. Więcej o nieczystej walce Facebooka o wpływy i pieniądze przeczytasz w książce *Bezwzględni. O władzy, chciwości i upadku ideałów największego portalu społecznościowego* (496 str., 59,99 zł).



eprasa.pl d83e96798c

JAK TWITTER POMÓGŁ POGRZEBAĆ DYKTATURY?

Na początku 2011 roku tematem numer 1 na Twitterze (obecnie X) były wydarzenia arabskiej wiosny. Liczba pojawiających się na portalu wiadomości dotyczących rewolucji w Egipcie przekraczała trzy na sekundę, a #Egypt stał się najczęściej używanym hashtagiem na świecie. Zdjęcia zmasakrowanej twarzy 28-letniego Khaleda Saida, zakatowanego w czerwcu 2010 roku w Aleksandrii przez policjantów, krążyły w internecie, wzbudzając w egipskim społeczeństwie słuszny gniew.

Ale social media nie były jedynie źródłem informacji o tym, co dzieje się w świecie arabskim. Założona przez Waela Ghonima na Facebooku strona „We Are All Khaled Said" stała się kluczowym narzędziem mobilizacji przed protestami 25 stycznia 2011 roku na Placu Tahrir w Kairze, które doprowadziły do obalenia reżimu prezydenta Husniego Mubaraka. Publikowane w mediach społecznościowych posty pozwalały koordynować działania w terenie (np. ostrzegać o policyjnych blokadach), a nagrania z telefonów komórkowych udostępniane na YouTubie dokumentowały brutalność sił rządowych, uniemożliwiając ukrycie represji i dolewając oliwy do ognia rewolty.

Podobną rolę social media odegrały w trakcie „kartonowej rewolucji", która wybuchła w Polsce po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 roku. W szczytowym momencie #StrajkKobiet generował miliony interakcji, a zdjęcia i nagrania z charakterystycznymi kartonowymi transparentami zalały Instagram. Według analiz SentiOne w ciągu zaledwie paru dni od wyroku wzmianki o protestach osiągnęły zasięg rzędu kilkuset milionów kontaktów w polskim internecie.

– *Social media mogą mieć pewien udział w szerszych przemianach zachodzących w społeczeństwie* – komentuje Jacek Mańko. – *Platformy, ale też zwykłe komunikatory, umożliwiają po prostu szybką komunikację i koordynację, zwłaszcza grupową. Mogą być katalizatorem protestów czy przemian, lecz rewolucja nie dzieje się tylko (o ile w ogóle) w mediach społecznościowych*.

W tym świetle nie dziwi, że w trakcie niepokojów w styczniu 2026 roku w Iranie tamtejszy rząd niemal całkowicie odciął dostęp do internetu – aby utrudnić organizowanie protestów, ale i rozpowszechnianie informacji o kolejnych zbrodniach reżimu.

Portale społecznościowe nie są przy tym wcale bezstronnym medium ani tym bardziej bezwarunkowym obrońcą wolności i demokracji. Ekspert ostrzega: – *Nie zapominajmy, że internet służy także dyktaturom, zaś technologiczni giganci nie mają oporów przed współpracowaniem z reżimami*.

WIATR ZMIAN

W wyniku wydarzeń arabskiej wiosny, zapoczątkowanych m.in. dzięki social mediom, doszło do obalenia władzy w Tunezji (na poniższej mapie oznaczona kolorem czarnym), Egipcie i Jemenie (dwukrotnie; fioletowe). Ten ostatni kraj, a także Libię i Syrię (bordowe) opanowały wojny domowe. Masowe protesty wymusiły zmiany polityczne również w Maroku, Jordanii, Palestynie, Kuwejcie i Omanie (turkusowe). Swój sprzeciw wobec dyktatur głośno wyrażała też reszta arabskiego świata (jasnym i ciemnym pomarańczowym wyróżniono kraje, w których organizowano demonstracje).



LUDOBÓJSTWO W TRYBIE LIVE

Ponad milion uchodźców koczujących w obozach, niemal 400 spalonych lub zrównanych z ziemią miejscowości i od kilku do kilkunastu tysięcy zabitych – to ponury bilans trwającej od początku lat 80. kampanii nienawiści wymierzonej w lud Rohingya. Ta muzułmańska mniejszość żyjąca na pograniczu Mjanmy (dawniej Birmy) i Bangladeszu od dekad pada ofiarą prześladowań. Sytuacja tych bezpaństwowców – birmański rząd w 1982 roku odebrał im prawa obywatelskie, uznając za nielegalnych imigrantów – znacznie pogorszyła się w roku 2012 wraz z demokratyzacją kraju. Przeprowadzano liczne akcje pacyfikacyjne i przesiedleńcze.

Ale dotychczas największa eskalacja przemocy, którą ONZ opisuje jako „podręcznikowy przykład czystek etnicznych", nastąpiła pięć lat później. Setki tysięcy Rohingya zostało wtedy wygnanych na granicę z Bangladeszem – którą również przed nimi zamknięto. Dodatkowo po zamachu stanu w 2021 roku znaleźli się w krzyżowym ogniu między wojskową juntą, która przejęła władzę w Mjanmie, a siłami wspierającymi demokrację. Wielu zginęło. Pozostali do dziś żyją w obozach dla uchodźców w pasie przygranicznym.

Winę za ten stan rzeczy – przynajmniej częściowo – ponosi Facebook. Już latem 2014 roku sfabrykowany post opublikowany na platformie wywołał zamieszki na ulicach. Później było tylko gorzej: w imię „podbijania treści" i zwiększania zasięgów (a tym samym zysków) algorytmy portalu wzmacniały mowę nienawiści wobec Rohingya. Firma przez lata ignorowała ostrzeżenia, zatrudniając zbyt mało moderatorów znających lokalny język, co doprowadziło do realnej przemocy, gwałtów i morderstw. „Ten przykład najlepiej pokazuje, jakie spustoszenie może siać Facebook, gdy staje się wszechobecny. Najlepiej mogę opisać to, co tam się wydarzyło, używając określenia: »śmiertelna lekkomyślność«. Za każdym razem, gdy kierownictwo Facebooka dostrzegało, że platforma podsyca napięcia i dramatycznie pogarsza niestabilną, budzącą grozę sytuację polityczną, nie robiło... nic" – podsumowuje Sarah Wynn-Williams.

W 2021 roku uchodźcy Rohingya, którzy przeżyli ludobójstwo, złożyli pozew przeciwko firmie Marka Zuckerberga, domagając się odszkodowania w wysokości 150 mld dolarów za działania i zaniechania, które „przyczyniły się do poważnych, czasem śmiertelnych czynów". Śledztwo w sprawie wydarzeń z 2017 roku prowadzi także Międzynarodowy Trybunał Karny.

SOCIAL MEDIA W ROZKWICIE

W związku z arabską wiosną liczba użytkowników Facebooka w świecie arabskim w ciągu roku wzrosła z 14,7 mln do 27,7 mln. Największy przyrost w pierwszym kwartale 2011 roku odnotowano w Egipcie (29%) i Tunezji (17%). Według Arab Social Media Report dziewięć na dziesięć ankietowanych osób w tych dwóch krajach zadeklarowało, że używało platformy Marka Zuckerberga do organizowania protestów lub szerzenia świadomości o nich. Dzięki hashtagom (np. #Jan25, #SidiBouzid) zachodnie media i opinia publiczna mogły śledzić wydarzenia niemal na żywo, co wywierało presję dyplomatyczną na reżimy. Ale miało to też mroczną stronę: social media były wykorzystywane przez dyktatury do inwigilacji i identyfikacji liderów arabskiej wiosny.





SKALA ZBRODNI

To, co wydarzyło się w Mjanmie, Organizacja Narodów Zjednoczonych wprost określiła mianem ludobójstwa. Sarah Wynn-Williams w książce *Bezwzględni* przywołuje ustalenia ONZ na temat rozmiarów zbrodni: „Dopuszczano się gwałtów i innych aktów przemocy na masową skalę (...). Wiele ofiar zostało zabitych lub zmarło w wyniku odniesionych obrażeń. Inni [mężczyźni i kobiety] zginęli w wyniku podpaleń, spaleni żywcem we własnych domach". Tym, którym udało się przeżyć, pozostała egzystencja w obozach dla uchodźców lub ucieczka (na zdj. Rohingya szukający schronienia w pobliskiej Indonezji)

eprasa.pl/83e8c798

JAK SOCIAL MEDIA DAŁY TRUMPOWI WYGRANĄ?

Czwartego listopada 2016 roku niemal 63 miliony Amerykanów zagłosowało na Donalda Trumpa, zapewniając mu zwycięstwo w wyścigu o fotel prezydencki z Hillary Clinton. Wielu z nich tę „jedyną słuszną" decyzję przy urnie pomógł podjąć... Facebook. „Operację prowadził Brad Parscale [ówczesny dyrektor ds. mediów cyfrowych w sztabie Trumpa – przyp. red.], który we współpracy z zespołem Facebooka stworzył całkowicie nową metodę prowadzenia kampanii politycznej – z celowanymi postami, dezinformacją, apelami o wsparcie finansowe" – pisze Sarah Wynn-Williams w książce *Bezwzględni. O władzy, chciwości i upadku ideałów największego portalu społecznościowego*. – „Facebook i ludzie z zespołu Parscale'a mikrotargetowali użytkowników, dopasowując reklamy do odbiorców, korzystając z narzędzi przeznaczonych dla reklamodawców komercyjnych". Samo w sobie nie brzmi to aż tak złowieszczo, ale diabeł tkwi w szczegółach.

Otóż kampania Trumpa w social mediach opierała się na bazie danych nazywanej Project Alamo. Obejmowała ona przeszło 220 milionów Amerykanów! Zgromadzone tam treści dotyczyły nie tylko ich aktywności w internecie; zawierała także informacje o miejscu zamieszkania, posiadanym samochodzie, rejestracji broni, a nawet historii kart kredytowych. Algorytmy Facebooka dopasowywały je do profili użytkowników i znajdowały osoby o wspólnych cechach ze znanymi zwolennikami Trumpa. Wystarczyło lubić taki sam typ auta (przykładowo pick-upy), by zostać celem precyzyjnie dopasowanych reklam!

Ale to nie koniec. Strategię targetowania łączono z wynikami testów przekazu – jeżeli ktoś pozytywnie reagował na jakiś slogan (np. matka szukająca wsparcia w zajmowaniu się dziećmi), otrzymywał odpowiedni komunikat (tu: reklamę przekazującą, że kandydat republikanów zamierza wprowadzić „w pełni odliczalne od podatku koszty opieki nad maluchami"). Równolegle podejmowano działania zniechęcające skierowane do młodych kobiet, białych liberałów sympatyzujących z Berniem Sandersem oraz czarnych wyborców przy użyciu tzw. dark posts – niepublicznych postów, niewidocznych dla innych internautów, zawierających treści, które miały odwieść „cele" od głosowania na Hillary Clinton.

Nie brak opinii, że Facebook odegrał kluczową rolę w zwycięstwie Trumpa w 2016 roku. „W kampanii użyto dziesiątki tysięcy reklam w milionach wariantów. (...) Wiele z tych reklam zawierało prowokacyjne dezinformacje zwiększające zaangażowanie użytkowników i jednocześnie obniżające koszt" – relacjonuje Wynn-Williams. W ostatnich tygodniach przed wyborami sztab Trumpa był jednym z największych reklamodawców na Facebooku na świecie – a Facebook najistotniejszym źródłem finansowania jego kampanii! Dzięki mikrotargetowaniu kandydat na prezydenta pozyskiwał bowiem miliony dolarów miesięcznie z darowizn wpłacanych za pośrednictwem portalu. Ręka rękę myje...

Narzędzia sprawdzone w 2016 roku wykorzystano ponownie w 2020 oraz 2024 roku. Powrót Donalda Trumpa z cyfrowej banicji – jego konta na platformach społecznościowych były przez pewien czas zablokowane – okazał się spektakularnym sukcesem. Polityk porzucił tradycyjne telewizyjne wywiady na rzecz udziału w podcastach skierowanych do tzw. manosfery (antyfeministycznej społeczności skupiającej się na mężczyznach i maskulinizmie). „Rozgościł się" także na TikToku (choć wcześniej chciał go zakazać) i dzięki materiałom z udziałem popularnych twórców oraz gwiazdorów MMA, które nie wyglądały jak polityka, ale rozrywka, zdołał zdobyć głosy rzeszy najmłodszych wyborców. Przede wszystkim jednak w ostatnich wyborach Trump miał bezwarunkowe i totalne poparcie Elona Muska. Właściciel serwisu X – i najbogatszy influencer świata – zmienił swój portal w prywatną tubę propagandową kandydata republikanów, która utorowała mu drogę do zwycięstwa.



BROMANCE MILIARDERÓW
Podczas kampanii poprzedzającej wybory prezydenckie w 2024 roku Elon Musk i Donald Trump (razem na zdj.) byli praktycznie nierozłączni. Ich zażyłą relację nazywano bromance'em, a kiedy sojusz nagle rozpadł się z hukiem, dla wielu osób był to szok.

eprasa.pl/d83e96798c

PRAWDA CZASU, NIEPRAWDA EKRANU

Ukute w PRL-u hasło: „Telewizja kłamie!” jak ulał pasuje także do social mediów. Przykłady? W 2022 roku Bongbong Marcos (a właściwie Ferdinand Marcos Jr., syn dyktatora Ferdinanda Marcosa) wygrał wybory prezydenckie na Filipinach m.in. dzięki kampanii wybielania historii prowadzonej na... TikToku i YouTubie. Za pomocą armii trolli internetowych oraz influencerów Bongbong zdołał przekonać ponad 20 mln wyborców w wieku 18–41 lat (a więc niepamiętających tamtych czasów), że jego ojciec był narodowym bohaterem, a lata jego panowania (1965–1986) – „złotą erą” w dziejach Filipin. W rzeczywistości był to okres łamania praw człowieka, masowych aresztowań, tortur i zabójstw politycznych oraz korupcji.

Ale nie trzeba wyruszać do Azji, by przekonać się, jak okłamują nas platformy społecznościowe. Niedawno głośno było o tiktokowym profilu Prawilne Polki, na którym młode, atrakcyjne kobiety, ubrane w patriotyczne koszulki namawiały do polexitu, tłumacząc, że nasz kraj powinien opuścić „eurokołchoz”, jak nazywały Unię Europejską, krytykowały obecny rząd i wyrażały poparcie dla skrajnej prawicy. – *Nie pamiętam Polski sprzed Unii, ale czuję, że wtedy była bardziej polska* – twierdziła jedna z nich. Problem w tym, że nawet jeśli prawilne, nie były one prawdziwe... Do wyjścia z UE namawiały bowiem wygenerowane przez sztuczną inteligencję awatary, a cała akcja była elementem szerszej operacji propagandowej. Czyjej? Według Macieja Broniarza z Centrum Nauk Sądowych Uniwersytetu Warszawskiego za Prawilnymi Polkami stały rosyjskie służby. Na antenie TOK FM ekspert komentował: – *Pamiętajmy, że np. TikTok to medium absolutnie niekontrolowane. I jeśli popatrzymy, na jakie treści można tam natrafić, to dezinformacja w kontekście polexitu to tylko jeden z przykładów*. Kolejnym są tzw. lustrzane profile młodych kobiet różnych narodowości, które rzekomo przeprowadziły się do Rosji, ponieważ jest tam... bezpieczniej, a teraz zachęcają do tego innych. Filmiki są dopasowane do kraju „pochodzenia” bohaterki, ale ich przekaz pozostaje ten sam: mają ocieplać wizerunek państwa Putina. – *To jest element wojny informacyjnej obliczony na to, by pogłębić polaryzację, rozchwiać emocje* – dodał Broniarz. Wykorzystywanie AI do szerzenia dezinformacji i radykalizacji społeczeństwa, celowe premiowanie kontrowersyjnych materiałów, cenzura na zlecenie dyktatur, napędzanie masowych ruchów społecznych za pomocą zautomatyzowanych botów i deepfake’ów – lista „grzechów” social mediów jest pokaźna. I stale się rozrasta. – *Długofalowych skutków obecnego stanu rzeczy jeszcze nie znamy, gdyż zjawisko jest względnie nowe, natomiast o bieżących skutkach przekonujemy się na co dzień. Na pewno trzeba tutaj wymienić erozję zaufania do instytucji i wiedzy eksperckiej czy szerzej: procesów demokratycznych* – komentuje Jacek Mańko. Na tym skłóceniu społeczeństw Zachodu zyskują technologiczni giganci oraz władze Rosji czy Chin – a tracimy my wszyscy.

MARIA ROJEWSKA



ZDJĘCIA: Xinhua/Li Xin, Chaideer Mahyuddin, Mandel Ngan/AFP/East News (3); mat. redakcyjne/AI; Adobe Stock (3); Shutterstock (4); Wikimedia Commons (2); TikTok (3)

KUPA GŁUPOT

Naukowcy dowiedli, że używanie TikToka dosłownie... niszczy nam mózg. Uzależniające mechanizmy stosowane przez portal ograniczają naszą samokontrolę i zwyczajnie nas ogłupiają, powodując tzw. TikTok brain. – *Platformy społecznościowe oraz w zasadzie cały internet podlegają procesowi, który publicysta Cory Doctorow dosadnie nazwał „gównowaceniem” (ang. enshittification) – tzn. spada szeroko rozumiana jakość platform, zarówno dla zwykłych użytkowników, jak i dla reklamodawców* – tłumaczy Jacek Mańko.

N

Mordercze auta to nie wymysł Stephena Kinga. Przeczytaj o „przeklętych” samochodach, które stały się bohaterami mrocznych historii!

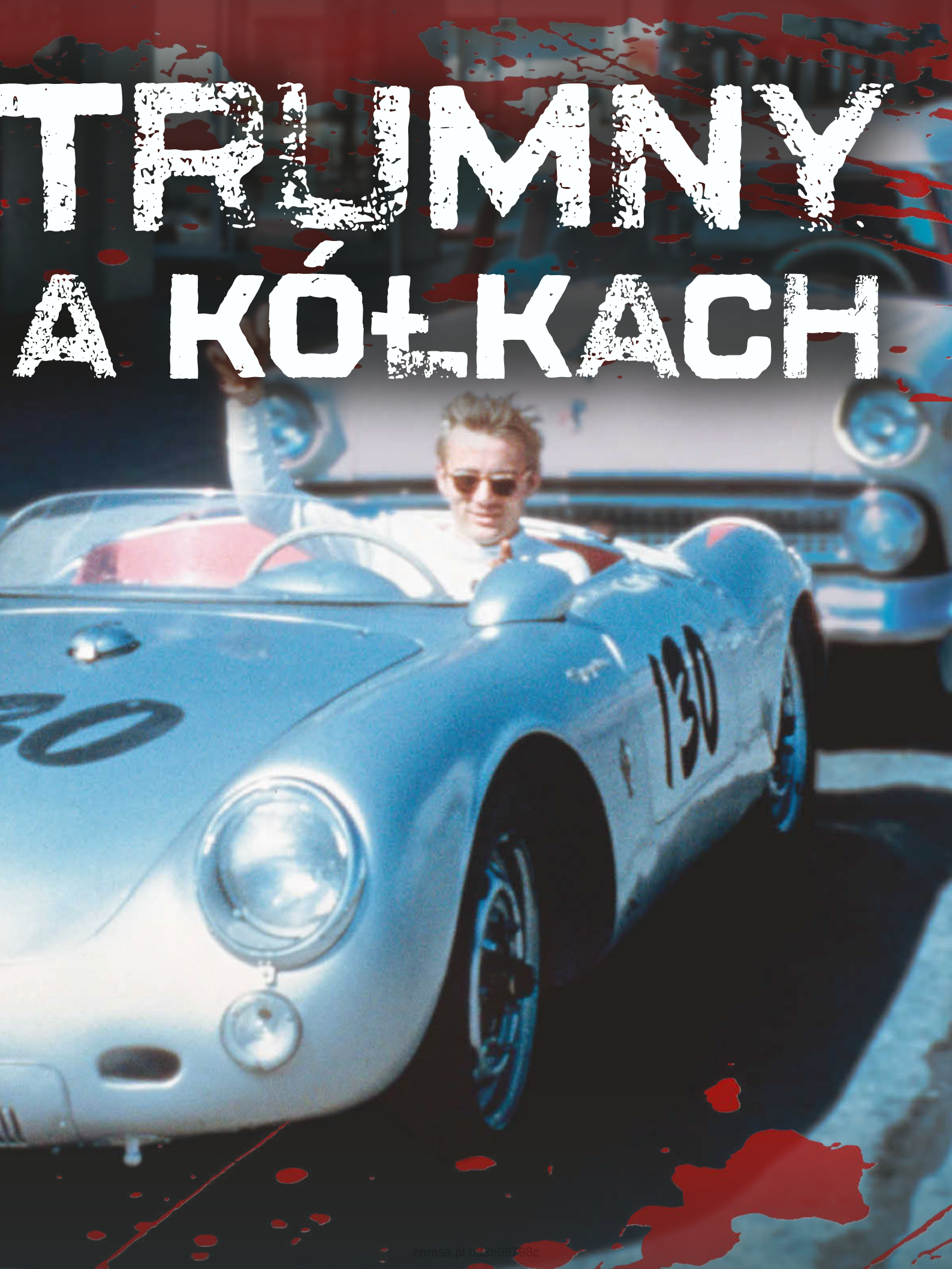


BUNTOWNIK BEZ HAMULCÓW

Choć w chwili śmierci miał zaledwie 24 lata, James Dean (na zdj. obok za kierownicą swojego Porsche 550 Spyder, w którym zginął; powyżej – wrak auta) zdążył już stać się ikoną. Sukcesy jego filmów pozwoliły aktorowi realizować pasję do szybkiej jazdy. Zwyciężył m.in. w amatorskim wyścigu w Palm Springs (wówczas za kółkiem Porsche 336 Speedster). Kilka godzin przed wypadkiem gwiazdora zatrzymała drogówka. Mandat za przekroczenie prędkości go jednak nie przestraszył, a brawura jeszcze tego samego dnia okazała się zabójcza.

eprasa.pl id33e96798c

TRUMNY A KÓŁKACH



eprasa.pl id: 3e96798c



Jeśli na drodze giną osoby z głośnymi nazwiskami albo przebieg zdarzenia mrozi krew w żyłach, nietrudno o powstanie mrocznych legend. Nad niektórymi samochodami podobno ciąży klątwa. Choć większość takich opowieści można włożyć między bajki, to istnieją przypadki, w których zbieg okoliczności zdaje się wyjątkowo niepokojący...

SZYBKO I WŚCIEKLE

Trzydziestego września 1955 roku James Dean mknął autostradą w pobliżu Cholame. Przed paroma godzinami dostał mandat za przekroczenie prędkości, ale mimo to nie ściągał nogi z gazu. Niedawno kupił Porsche 550 Spyder, które ochrzcił mianem „Małego Drania". Zaledwie dziewięć dni wcześniej angielski aktor Alec Guinness na widok młodej gwiazdy Hollywood w luksusowym aucie rzucił: – *Za tydzień znajdą cię martwego*.

Feralnego popołudnia 24-letni James Dean zderzył się czołowo z Fordem Custom Tudor. Został przewieziony do szpitala, gdzie o godzinie 17:59 stwierdzono jego zgon. Kierowca Forda nie odniósł poważniejszych obrażeń, podobnie jak pasażer Deana – rajdowiec i mechanik Rolf Wütherich.

Kolejne wydarzenia związane z wrakiem Spydera doprowadziły do powstania plotek o rzekomej klątwie ciążącej nad pojazdem. Kierowcy mający styczność z jego częściami doznawali urazów albo ginęli. Rozbite Porsche kupił tuner samochodowy George Barris, który wcześniej wykonywał przeróbki auta na prośbę Deana. W trakcie transportu „Mały Drań" zsunął się na mechanika, łamiąc mu obie nogi.

Barris sprzedawał Spydera na części. William Eschrich nabył silnik przeklętego modelu, który umieścił w Lotusie IX. Wkrótce z powodu zablokowanych hamulców wypadł z drogi i cudem uniknął śmierci. Troy McHenry, który kupił elementy skrzyni biegów oraz zawieszenia, nie miał tyle szczęścia – w czasie jazdy uderzył w drzewo i zginął.

Zaniepokojony kolejnymi doniesieniami Barris wstrzymał handel fragmentami auta, jednak zgodził się wypożyczyć wrak na wystawę. Niedługo później w budynku wybuchł pożar. Samochód nie ucierpiał, lecz ten incydent dodatkowo wzmocnił jego złowrogą reputację. Jak gdyby tego było mało, Spyder pięć lat po śmierci aktora zaginął w tajemniczych okolicznościach...

GARBUS GROZY

Wymontowane siedzenie i brak klamki od strony pasażera, łom, kajdanki, maska i rękawiczki – taki widok ukazał się policjantom na przedmieściach Salt Lake City latem 1975 roku, gdy podczas rutynowej kontroli przeszukiwali beżowego Volkswagena Typ 1,

popularnie nazywanego garbusem. Auto stanowiło jednocześnie miejsce makabrycznych przestępstw oraz narzędzie zbrodni. Ted Bundy zwabiał do niego dziewczyny, które następnie ogłuszał, gwałcił i dusił.

Morderca często udawał przed swoimi ofiarami osobę potrzebującą pomocy. Kobiety, widząc jego ramię w gipsie lub leżące obok kule inwalidzkie, nie podejrzewały niczego złego i zgadzały się wsiąść do samochodu sympatycznego, przystojnego mężczyzny. W rzeczywistości była to śmiertelna pułapka – po zatrzaśnięciu drzwi odkrywały, że wewnętrzna klamka została zdemontowana i ucieczka jest niemożliwa.

Znaleziska w beżowym garbusie wzbudziły czujność policjantów – Bundy został tymczasowo aresztowany i choć wkrótce wyszedł na wolność, stał się głównym podejrzanym w sprawie serii niewyjaśnionych zabójstw. Ponownie trafił za kraty i po latach medialnego korowodu sądowego (w jego trakcie dwukrotnie zbiegł z więzienia) skazano go na karę śmierci. Przyznał się do 30 morderstw.

W mrocznym świecie Bundy'ego motoryzacja zajmowała szczególne miejsce. Ted nigdy nie przeboleał sprzedaży garbusa, którego pozbył się po pierwszym zatrzymaniu przez policję. Podczas ucieczek kradł kolejne samochody, w tym pomarańczowego Volkswagena Beetle. Makabryczna nostalgia czy zwykły przypadek? Jedno jest pewne: historia zatoczyła koło. Bundy ponownie wpadł w ręce stróżów prawa przy okazji rutynowej kontroli drogowej.

ROZSTRZELANY FORD

Popkultura romantyzuje losy Bonnie Parker i Clyde'a Barrowa, jednak ich Ford V8 miał niewiele wspólnego z historią miłosną. >

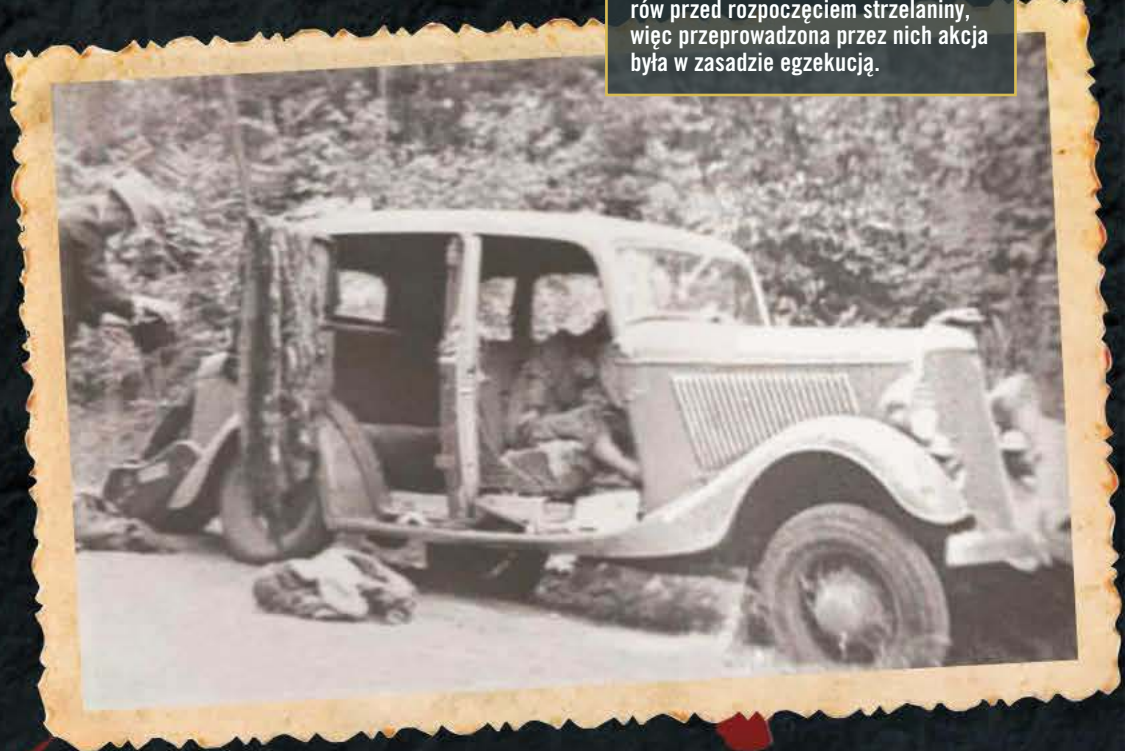
KONIEC NIEWINNOŚCI

Jeden z najsłynniejszych amerykańskich seryjnych morderców, Ted Bundy (na zdj. poniżej), miał słabość do Volkswagenów Typ 1, pieszczotliwie nazywanych za oceanem Beetle, czyli żuk. Krył się za tym zbrodniczy podstęp. Garbus był najliczniej produkowanym modelem w historii motoryzacji (w ciągu 60 lat powstało aż 21 milionów egzemplarzy), a jego popularność przez długi czas pozwalała zabójcy pozostać niezauważonym. Nie bez znaczenia był też fakt, iż niewielki samochód budził raczej niewinne skojarzenia – zwłaszcza że z uwagi na niską cenę upodobali go sobie nawołujący do miłości i pokoju hippisi. To, co działo się na siedzeniach garbusa Teda Bundy'ego (na zdj. obok prezentowany w Narodowym Muzeum Zbrodni i Kary w Waszyngtonie), budziło jednak czystą grozę.



WYŚCIG ZE ŚMIERCIĄ

Obławą na słynną parę zabójców żyła cała Ameryka. Gdy wreszcie ich dorwano (na zdj. poniżej Ford, którym uciekali przestępcy, tuż po ostrzelaniu przez policję), świadkowie próbowali zebrać makabryczne pamiątki: ktoś usiłował pozbawić Clyde'a ucha, inny wyciął zakrwawiony fragment sukienki Bonnie. Niedługo później funkcjonariusze, którzy byli wówczas na miejscu, znaleźli się w ogniu krytyki. Ale nie dlatego, że nie dopilnowali tłumu. Zarzucano im, iż... nie ostrzegli gangsterów przed rozpoczęciem strzelaniny, więc przeprowadzona przez nich akcja była w zasadzie egzekucją.





Auto było niemym świadkiem tragicznej w skutkach obławy na najsłynniejszą parę przestępców doby wielkiego kryzysu. Po śmierci kochanków przyczyniło się zaś do... małżeńskich problemów jego prawowitego właściciela.

Głośny zbrodniczy rajd Bonnie i Clyde'a obejmował rabunki, włamania, a z czasem również morderstwa. W trakcie policyjnej zasadzki 23 maja 1934 roku ich beżowy Ford został podziurawiony ponad setką kul. Pociski dosięgły także „Romea i Julię" amerykańskiego półświatka.

Clyde ukradł feralne auto kilka miesięcy wcześniej. Wytypował model V8 z powodów praktycznych – był szybki, solidny i nie przyciągał uwagi. Samochód, w którym zginął wraz z Bonnie, odzyskał w końcu jego właściciel, Jesse Warren. Wkrótce jednak w życiu mężczyzny pojawiły się kolejne komplikacje. Żona dostrzegała we wraku szansę na wzbogacenie się – z różnych stron napływały bowiem atrakcyjne propozycje wynajmu Forda na wystawy. Jesse był temu przeciwny, gdyż nie chciał uczestniczyć w promowaniu krwawej historii.

W latach 50. auto odkupił za blisko 15 tysięcy dolarów Ted Toddy, by na nim zarobić. Samochód był prezentowany w kinoteatrach, ale dopiero po premierze oscarowego filmu *Bonnie i Clyde* z 1967 roku w reżyserii Arthura Penna stał się faktycznie obiektem kultu. Obecnie można go oglądać w kasynie nieopodal Las Vegas.

CZARNA LEGENDA

Za mroczną legendą Buicka Electra 225, w którym w 1967 roku zginęła Jayne Mansfield, stał założyciel Kościoła Szatana – i były kochanek aktorki – Anton LaVey (na zdj.). W latach 60. XX wieku szokował Amerykanów nie tylko kontrowersyjnymi poglądami, ale i wizerunkiem, który wykorzystywał, by rozsławić swoje ugrupowanie.







TOKSYCZNA MIŁOŚĆ
Sam Brody pojawił się w życiu Jayne Mansfield latem 1966 roku, kilkanaście miesięcy przed tragicznym wypadkiem (po lewej: zdjęcie zmiażdżonego Buicka). Aktorka najlepsze lata miała już wówczas za sobą. Po paśmie sukcesów, kiedy, konkurując z Marilyn Monroe, wcielała się w ponętne blondynki, została zmuszona do występów w podrzędnych barach, aby zarobić na mleko dla dzieci. Przemocowy prawnik wykorzystał upadek gwiazdy. Obrócił życie kochanki w koszmar: regularnie ją bił i wpędzał w alkoholizm, a przez nietrafione rady ostatecznie pogrzebał jej karierę. Był agresywny również w stosunku do najstarszej córki Jayne, przez co dziewczynka została odebrana matce i przekazana pod opiekę krewnych.

ZABÓJCZY LUKSUS
W połowie lat 60. Buick Electra 225 (na kolorowym zdj. powyżej) stał się synonimem luksusu. Awangardowa stylistyka i masywne nadwozie o oryginalnym, nieregularnym kształcie w połączeniu z wydajnym silnikiem czyniło z auta obiekt pożądania. Samochód wpadł w oko również aktorce Jayne Mansfield (obok: ze swoim prawnikiem i kochankiem Samem Brodym – razem zginęli w wypadku). Słynęła z ekscentrycznego gustu. W latach świetności mieszkała w różowym pałacu i pławiła się w przepychu, maszyna wpasowała się więc w ten gwiazdorski splendor. Feralnej nocy z 28 na 29 czerwca 1967 roku pojazd wbił się w naczepę ciągnika. Jedną z przyczyn wypadku była mgła, która ograniczyła kierowcy widoczność.

PRZEJAŻDŻKA Z DIABŁEM

W nocy z 28 na 29 czerwca 1967 roku Buick Electra 225, którym podróżowali aktorka Jayne Mansfield, jej prawnik i kochanek Sam Brody oraz wynajęty 19-letni kierowca Ronald Harrison, wjechał w naczepę ciągnika. Cała trójka zginęła w momencie uderzenia. Na tylnych siedzeniach spały dzieci gwiazdy – cudem przeżyły wypadek. Prasę obiegły wstrząsające zdjęcia z miejsca tragedii, na których w rozbitej szybie utknęły jasne włosy. Tak narodziła się legenda o dekapitacji Mansfield – w rzeczywistości była to peruka.

Wkrótce po kraksie Anton LaVey, założyciel Kościoła Szatana, ogłosił, że wypadek był skutkiem... złego uroku, który rzucił na Sama Brody'ego rok wcześniej. Okoliczności katastrofy sprawiły, że niektórzy zaczęli wierzyć w jego nadprzyrodzone moce, a Buicka uznano za przeklęte auto.

Niespełna dwie dekady później w Stanach Zjednoczonych wybuchła tzw. satanistyczna panika – masowy strach przed rzekomymi zbrodniczymi rytuałami wyznawców szatana, wywołany fałszywymi oskarżeniami i medialną histerią. Tragiczny wypadek z udziałem Mansfield stał się jednym z argumentów w walce z domniemanym kultem diabła.

Co łączyło samozwańczego Czarnego Papieża z ludźmi z branży filmowej? Otóż hollywoodzka seksbomba romansowała zarówno z LaVeyem, jak i z Brodym. Ten drugi przyczynił się do upadku gwiazdy: nie tylko fatalnie prowadził karierę aktorki, ale i dopuszczał się przemocy – także wobec jej najstarszej córki. Podczas pijackich awantur bił tak mocno, że nawet makijaż nie był w stanie ukryć siniaków na twarzy Jayne. LaVey wykorzystał okazję, by chociaż pośmiertnie zemścić się na swoim rywalu.

Kabriolet, w którym zginęli Jayne i Sam, do dziś owiany jest niesławą. Mimo tragedii i krążących spekulacji o czarach LaVeya z wypadku wyniknęło jednak również coś pozytywnego – stał się on impulsem do wprowadzenia w Stanach Zjednoczonych obowiązkowych listew przeciwnajazdowych w naczepach, co przyczyniło się do zwiększenia ochrony podróżujących samochodami.

PAULA APANOWICZ

ZDJĘCIA: Adobe Stock (4); John Springer Collection, Bettmann/Gallo Images (3); AP/East News; Olivier Douliery/Imago; Wikimedia Commons (3)

epresa.pl uprasa6759



WYGNANIA I POWROTY

W języku urzędowym lat 40. XX wieku „repatriacją” nazywano zarówno powroty Polaków z Kresów Wschodnich, jak i wysiedlenia Niemców za Odrę oraz Nysę Łużycką. Także wyjazdy polskich Białorusinów do ZSRR po 1946 roku bywały tak określane w oficjalnych dokumentach.

eprasa.pl d83e96798c

WĘDRÓWKA LUDÓW PO POLSKU

Po II wojnie światowej Polska stała się areną migracji na niespotykaną skalę. Wypędzeni, przesiedleni, pozbawieni dachu nad głową – miliony ludzi ruszyły w drogę, by w innym miejscu zacząć życie od nowa.

Rok 1945, wieś Spalona w Górach Bystrzyckich. W jednym z domów na piętrze niemiecka rodzina pakuje walizki, na parterze swoje rzeczy rozkładają przesiedleńcy z Kresów Wschodnich, którzy właśnie przybyli tu po horrorze rzezi wołyńskiej. Nagle rozlega się pukanie: to sybiracy. Z zesłania wrócili najpierw na Grodzieńszczyznę, lecz tam już nie było Polski, więc ruszyli dalej, na tzw. Ziemie Odzyskane.

W tym samym czasie do folwarku pod Olsztynem wracają jego prawowici właściciele. To z dziada pradziada Mazurzy, choć mają obywatelstwo niemieckie. Tydzień temu uciekli przed Armią Czerwoną, a teraz wchodzą do pustego domu: szabrownicy już tu byli, zabrali nawet łóżka.

Dwa lata później w Giżycku zatrzymuje się lokomotywa ciągnąca zaryglowane wagony towarowe z Bieszczadów. Żołnierze robią szpaler, a między nimi przemykają Łemkowie. Jedna z kobiet, wskazując na mazurskie jezioro, szepcze do męża: – *Potopią nas w tej wodzie.* Takich ludzi w powojennej Polsce były miliony. Wysiedlani, „repatriowani", przeganiani z domów, musieli zaczynać życie od nowa gdzieś indziej – w chaosie, bólu, ale mimo wszystko z nadzieją. >



MARSZ NA ZACHÓD

Po 1945 roku Polska straciła 179 tys. km² na wschodzie, w zamian zyskując 101 tys. km² tzw. Ziem Odzyskanych. Zbieżność terytoriów między II Rzeczpospolitą a nowymi granicami wyniosła ok. 211 tys. km². Oznacza to, że mniej więcej 68% obecnej powierzchni naszego kraju należało również do II RP.

eprasa.pl d83e96798c



KU NOWEJ POLSCE

„Na obszarze zawartym między linią Odry i Nysy Łużyckiej a wschodnią granicą międzywojennej Polski przemieszczenia dotknęły bezpośrednio blisko 30 mln ludzi. Nie wliczono do tego rachunku przemarszów wojska, tzn. wielomilionowych zgrupowań Wehrmachtu czy armii sowieckiej" – pisał geograf prof. Piotr Eberhardt o migracjach w latach 1939–1950.

POCZĄTEK DROGI

Druga wojna światowa rozbiła życie zwykłych ludzi na kawałki. Na ziemiach wcielonych do III Rzeszy Niemcy wypędzali Polaków i Żydów, sprowadzając na ich miejsce własnych osadników. Z kolei Sowieci deportowali setki tysięcy mieszkańców Kresów Wschodnich – transportowani w bydlęcych wagonach, jechali na Syberię, gdzie głód i mróz zbierały zabójcze żniwo. W końcowej fazie konfliktu pojawił się jeszcze jeden typ migracji: masowa ucieczka przed zbliżającym się frontem. Całe rodziny tułały się obładowane walizkami. Dzieci płakały, a dorośli modlili się o przetrwanie.

Zanik struktur państwowych sprawił, że te masy ludności przemieszczały się w prawnej próżni. Opustoszałe budynki zajmowano bez pytania o zgodę, tworzono prowizoryczne schronienia w ruinach, rozwijał się szaber, dochodziło do samosądów. Niektórzy doraźnie próbowali się organizować, ale w całym kraju panował chaos. Wojna zerwała więzi społeczne i utrwaliła brutalne praktyki wyrzucania ludzi z ich domów. Po kapitulacji Niemiec te metody przejęły nowe władze, dalej nakręcając spiralę cierpienia, choć już pod inną flagą.

Pierwsze powojenne miesiące były czasem funkcjonowania w zawieszeniu. Dla znacznej części społeczeństwa migracja nie była ruchem jednokierunkowym, lecz serią przeprowadzek „na próbę", powrotów i ponownych wyjazdów. Miliony ludzi żyło „na walizkach", tęskniąc za stabilnością i zwyczajnie obawiając się jutra. Każdy dzień przynosił kolejne zagrożenia, dlatego tygodniami odwlekano decyzję o ostatecznym zatrzymaniu się w nowym miejscu.

W tym wirze wyróżniało się kilka grup migrantów. Jako jedna z pierwszych opisała ich badaczka Krystyna Kersten: od wysiedlonych Niemców, przez osoby pochodzące z Kresów i sybiraków, po osadników z centralnej Polski oraz ocalałych Żydów i Romów. Jej praca pokazuje, że ówczesne „wędrówki ludów" były złożonym zjawiskiem, a nie jednorodnym procesem osiedleńczym. A każdy uczestnik tej powojennej zawieruchy miał własną historię.

ZEMSTA ZA WOJNĘ

Największa fala migracji dotyczyła obywateli III Rzeszy i terenów przekazanych Polsce – dotknęła około

eprasa.pl d83e96798c



KONIEC BRESLAU

„Na ulicy utworzył się kilkusetmetrowy wąż skazanych na deportację Niemców, ciągnących i pchających napakowane dobytkiem wózki, o ile ktoś taki miał. Inni, mniej szczęśliwi, dyszeli i sapali, targając w rękach ciężkie pakunki. Niektórzy, widać najsłabsi, rzucali walizki już po kilkudziesięciu krokach. Wkrótce przebytą przez nich drogę znaczyły porzucone bagaże" – opisywał Jacek Inglot w książce *Wypędzony. Breslau–Wrocław 1945.*

8 milionów osób. Nie była to jedna oficjalna akcja. Wędrówka trwała etapami: od ucieczek w czasie wojny, po zorganizowane transporty, które na zawsze zmieniły oblicze tzw. Ziem Odzyskanych.

Na początku była panika. W wielu miejscach, nie zawsze czysto niemieckich – często mieszkali tam Mazurzy, Ślązacy czy Kaszubi – ludzie opuszczali swoje domy jeszcze przed kapitulacją III Rzeszy. Beata Szady w *Wiecznym początku* opisuje rodzinę Monkowskich z Olsztyna: „Decydują się na ucieczkę. Wieczorem na dworcu kolejowym w Olsztynie pojawiają się czołgi radzieckie. (…) Kto nie zdąży odskoczyć, z tego zrobią miazgę". Część migrantów została wypędzona przez lokalne grupy, wojsko lub spontanicznie tworzone komitety. Działo się tak zwłaszcza tam, gdzie przed wojną mieszkało wielu Polaków. Obywatele niemieccy nagle słyszeli bezwzględne: „Wynoście się natychmiast!".

Na przygotowania mieli zaledwie kilka godzin. Ruszali z garstką bagażu, nie wiedząc, dokąd idą. Herbert Monkowski wspominał, jak tułaczka zaprowadziła ich do Malborka. Tam chcieli przekroczyć Wisłę, „ale nie ma mostów. Jest za to ktoś z łodzią. Oczywiście za darmo nie przewiezie. Marija pieniędzy nie ma. Zresztą pieniądze nie mają wówczas żadnej wartości. I wtedy wyciągnęła wplecioną we włosy złotą obrączkę. (…) Człowiek z łodzi popatrzył na ten pierścionek i dodatkowo dał nam chleb". Potem przyszła formalizacja – punkty zborne, listy, pociągi.

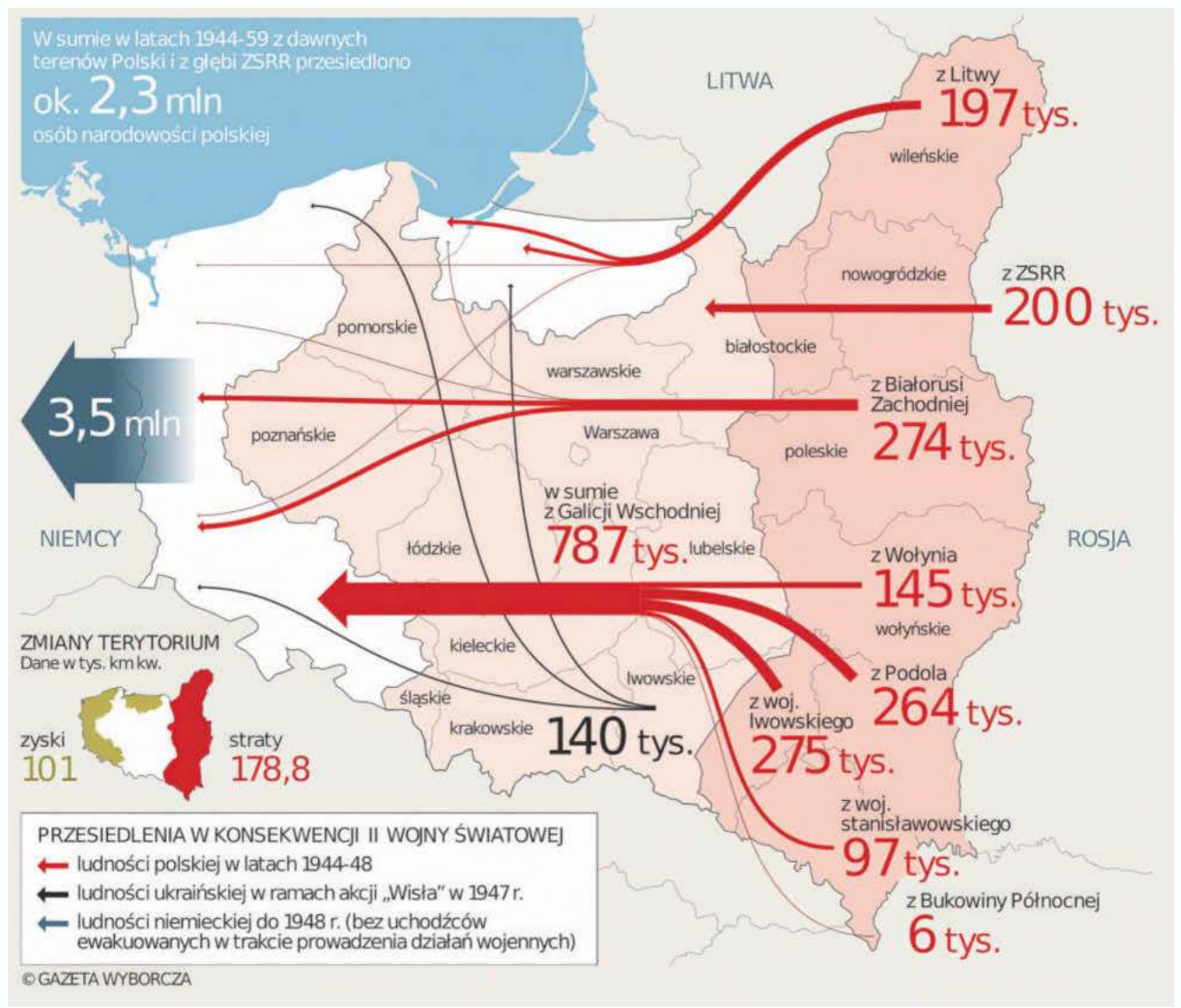
Przymusowi migranci mieli nadzieję, że dzięki temu zapanuje porządek, ale rzeczywistość okazała się okrutna. Pakowano ich do wagonów towarowych bez jedzenia, opieki i ogrzewania. Ewakuacja drogą morską była jeszcze bardziej niebezpieczna. Najlepszym na to dowodem była katastrofa Wilhelma Gustloffa w styczniu 1945 roku. W okręt przewożący prawie 10 tysięcy uciekinierów, głównie niemieckich cywilów, Sowieci wystrzelili trzy torpedy. Zginęło ponad 9 tysięcy osób.

Po wysiedlonych pozostały domy, gospodarstwa, warsztaty. Nie stały opustoszałe długo. Nowi mieszkańcy przybywali szybciej, niż państwo było w stanie uregulować sprawy własności. >

eprasa.pl d83e96798c

NOWA RZECZYWISTOŚĆ

Po zakończeniu II wojny światowej Polska stała się państwem diametralnie innym niż przed 1939 rokiem. Poza jej granicami znalazły się Lwów i Wilno – dawne perły II Rzeczpospolitej, ważne dla tożsamości narodowej. W społeczeństwie narastało poczucie straty i upokorzenia, a także gniew wobec władz komunistycznych, którym zarzucano zgodę na przesunięcie granic. W odpowiedzi propaganda PRL konsekwentnie akcentowała konieczność odbudowy ojczyzny poprzez przyłączenie i zagospodarowanie „Ziem Odzyskanych", przedstawiając to jako powrót terenów piastowskich do macierzy. Równocześnie zapowiadano budowę państwa jednonarodowego, co pociągało za sobą masowe przesiedlenia – przede wszystkim ze wschodu na zachód kraju.

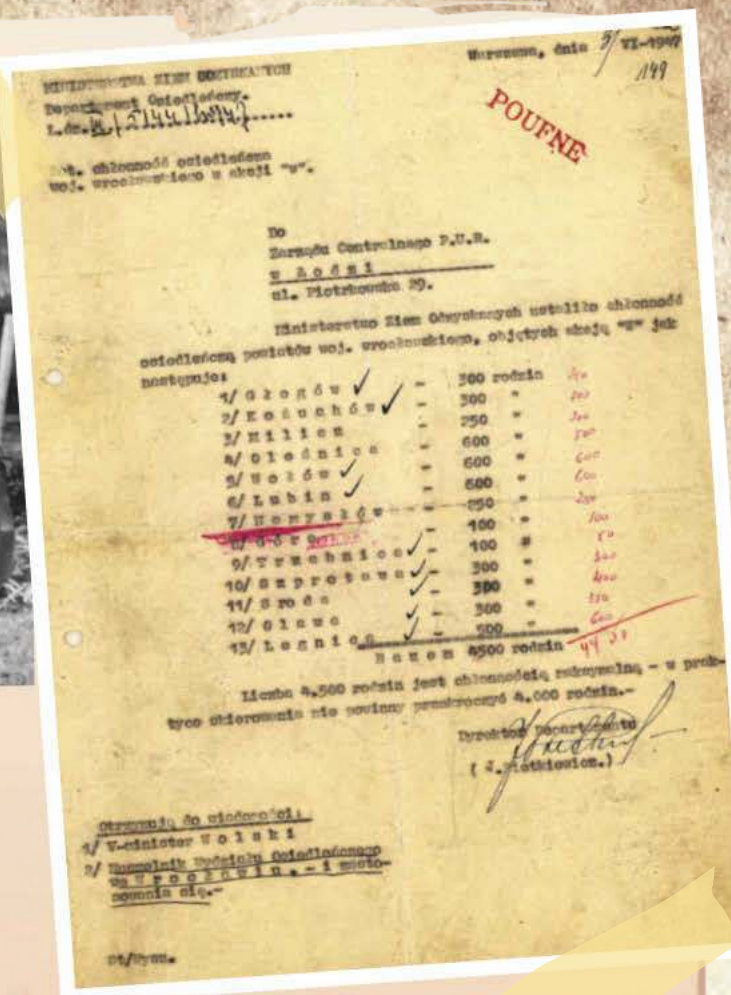


Na porządku dziennym były grabieże, nielegalne podziały czy kradzieże. Germanista prof. Hubert Orłowski nie bez powodu nazwał Polskę w pierwszych miesiącach 1945 roku „prawdziwym Niemandsland" – ziemią niczyją, gdzie „wszyscy to robili": szabrowali, bo „obowiązywały inne prawa. A raczej bezprawie". Nadszedł czas zemsty na Niemcach. W reportażach Beaty Szady czytamy: „Najgorsi byli »warszawiacy«. Tak ich nazywano, ale w rzeczywistości przyjeżdżali z całych Kurpi i reszty Mazowsza. Na Warmię i Mazury urządzali wycieczki regularnie, byle jakim samochodem, przeważnie wieczorem. »Pod ścianę!« – krzyczeli po polsku, patrzyli, co im się może przydać, i zabierali". Alfred Burdinski dodawał: „Chłopi z miejscowości przygranicznych przyjeżdżali tu szabrować wozami. Często do tych, u których pracowali, których znali. Wiedzieli, gdzie co jest".

Aby zatrzeć ślady po dawnych osadnikach, przeprowadzano polonizację – zmieniano nazwy, usuwano znaki. Już w kwietniu 1945 roku w Szczecinie Hakenterrasse przemianowano na Wały Chrobrego, by symbolicznie przywrócić polskość. Tymczasem po zachodniej stronie granicy wypędzeni budowali własną pamięć: archiwa, muzea. Powstały dwa światy wspomnień – osadniczy i wysiedleńczy – pozbawione dialogu, pełne wzajemnych żalów.

eprasa.pl d83e96798c





POUFNE

Do
Zarządu Centralnego P.U.R.
w Łodzi
ul. Piotrkowska 29.

Ministerstwo Ziem Odzyskanych ustaliło chłonność osiedleńczą powiatów woj. wrocławskiego, objętych akcją "W" jak następuje:

1/ Brzeg	–	300 rodzin
2/ Kościan	–	300 "
3/ Milicz	–	250 "
4/ Oleśnica	–	600 "
5/ Wołów	–	600 "
6/ Lubin	–	850 "
7/ Henrykaw	–	100 "
8/ Góra	–	100 "
9/ Trzebnica	–	300 "
10/ Szprotawa	–	300 "
11/ Środa	–	300 "
12/ Oława	–	300 "
13/ Leszno	–	300 "
Razem		4500 rodzin

Liczba 4.500 rodzin jest chłonnością minimalną – w praktyce oczywiście nie powinno przekroczyć 4.000 rodzin.-

Dyrektor Departamentu
(J. Kołłątaj-Boleski)

Otrzymują do wiadomości:
1/ Wiceminister Wołoszyn
2/ Naczelny Dyrektor Osiedleńczego
W Poznaniu. - i niezwłocznie zawiadomią się.-

mt/kym.

PLANOWE NISZCZENIE WIĘZI

Koncepcja przesiedlenia ludności ukraińskiej pojawiła się już 24 lipca 1945 roku podczas konferencji w Ministerstwie Administracji Publicznej – na długo przed śmiercią gen. Świerczewskiego, którą wykorzystano jako pretekst. Decyzję o rozpoczęciu operacji mógł podjąć sam Stalin lub Beria. Chodziło o roztopienie „obcego elementu" w polskiej masie. Przymusowym migracjom podlegali wszyscy – także Ukraińcy z Polskiej Partii Robotniczej, milicji i Urzędu Bezpieczeństwa. Władze oficjalnie twierdziły, że chronią ich przed terrorem Ukraińskiej Powstańczej Armii.

POWROTY W NIEZNANE

Równolegle z wypędzeniami Niemców trwały „powroty do ojczyzny" Polaków z Kresów Wschodnich. Takim patriotycznie brzmiącym hasłem określano tak naprawdę inne wypędzenie z ziemi ojców: przesiedlenie ludzi z przedwojennych terenów II RP, które zostały wcielone do ZSRR na podstawie ustaleń jałtańskich. W latach 1944–1948 drogę tę przebyło około 2,2 miliona osób. Dla wielu był to przyjazd do nieznanego kraju, bez dawnych punktów oparcia. Ich rodzinne strony zostały odcięte za przesuniętą granicą. Dla niedoszłych ofiar rzezi wołyńskiej była to jednak szansa na życie. Maria Berny mówiła: „Za kilka dni miasteczko zablokują oddziały UPA i Niemcy będą je musieli opuścić. Polacy wiedzieli, że odejście Wehrmachtu to dla nich wyrok śmierci – w nocy więc uradzili: trzeba uciekać". Takie ucieczki w latach 1943–1944 często prowadziły do bezpieczniejszych rejonów okupowanej Polski.

Po kapitulacji III Rzeszy wiele osób trafiło z utraconych Kresów na tzw. Ziemie Odzyskane. Podróż bydlęcymi wagonami trwała półtora miesiąca. „Po pięciu tygodniach w wagonie strasznie śmierdzi. Zapasy żywności są na wyczerpaniu i coraz trudniej o paszę dla zwierząt" – relacjonował Antoni Turkiewicz. Na miejscu migrantów czekał obcy świat, przepełniony napięciem i nieufnością. Michał Sobków opisywał: „Przeszło miesięczna podróż skończyła się dla nas w Brochowie koło Wrocławia". Jego bliskim udało się znaleźć schronienie. „Radość jednak szybko prysła, gdy uświadomiłem sobie, że w tym domu mieszkają Niemcy. (...) Ustaliliśmy, że od jutra będziemy mieszkać na parterze (...), oni – na piętrze". Do ojczyzny wracali też Polacy z ZSRR, łącznie ok. 1,3 miliona ludzi, w tym sybiracy.

OSTATECZNE ROZWIĄZANIE KWESTII UKRAIŃSKIEJ

Jednym z najbardziej brutalnych epizodów powojennych wysiedleń była akcja „Wisła" z 1947 roku, wymierzona w Ukraińców i Łemków na południowym wschodzie Polski. Celem operacji było całkowite rozbicie tych społeczności: rozproszenie po kraju miało zniszczyć ich więzi rodzinne, kulturowe korzenie i poczucie tożsamości. Chodziło m.in. o odebranie UPA wsparcia w terenie.

Ludzie dowiadywali się o przenosinach w ostatniej chwili. Mieli tylko kilka godzin na spakowanie dobytku, a nie wszystko pozwolono im zabrać. Dopuszczalny bagaż był mocno ograniczony. Informacji o miejscu docelowym – brak. Wokół stali żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Wojsk Ochrony Pogranicza, brutalnie poganiając wysiedleńców. >

eprasa.pl d83e96798c



W CIENIU UNRRA

Displaced persons, czyli osoby przemieszczone, które w wyniku wojny znalazły się poza ojczyzną i bez pomocy nie mogły wrócić lub osiedlić się gdzie indziej, potocznie nazywano dipisami. Na zdjęciu należący do tej grupy żydowscy uchodźcy z Polski w Wiedniu, jednym z kluczowych punktów tranzytowych dla ocalałych z Zagłady. Stamtąd kierowali się do obozów przejściowych w Niemczech, często marzyli jednak o Palestynie. UNRRA, główna organizacja pomocowa, która przygotowywała transporty, była przez polską prasę emigracyjną oskarżana o sprzyjanie przymusowym przesiedleniom i infiltrację przez komunistycznych agentów.

Strach przed przemocą paraliżował całe rodziny. Wielu postrzegało to jako karę zbiorową za wcześniejsze zbrodnie wołyńskie, choć w rzeczywistości była to zimna, stalinowska inżynieria społeczna.

Nadzieja, bohaterka książki Pawła Smoleńskiego *Syrop z piołunu*, wspominała przybycie z Bieszczad na Mazury: „Przywieźli nas na murowaną stację (...). Byliśmy głodni i zmęczeni, przestraszone zwierzęta ryczały. (...) Pytaliśmy siebie nawzajem, po co nas tu wieźli". Spodziewali się najgorszego. Maria opisywała agitację do wyjazdów na radziecką Ukrainę, bo i taką alternatywę im przedstawiono: „Mama i tata nigdy nie przyjechali z Sowietów do Polski. (...) Jak ktoś stamtąd uciekł, opowiadał, że na płocie, gdy przyszło co do czego, można się było tylko z głodu obwiesić".

Wielu nie paliło się więc do podróży. Jarosław relacjonował: „Gdy ogłosili wywózkę, uciekliśmy do przysiółka Żyłka (...). We wsi zostali dziadziuś i babunia. Ale też nie wytrzymali, choć żal zostawić gospodarkę. Dziadziuś zaprzągł konika i wio, do lasu". Szymon opowiadał o ukrywaniu się w cerkwi: „Chowali się na strychu, pod drewnianym sklepieniem pomalowanym w złote gwiazdy zanurzone w błękit, zupełnie jak na niebie. Ze dwa dni, bez kropli wody i kawałka chlebowej skórki (...). Musieli siedzieć cicho, cichutko, bo dookoła chodzili żołnierze".

Skala operacji przerosła plany komunistycznych władz. Łącznie wysiedlono ponad 140 tysięcy osób – dwa razy więcej, niż zakładano.

MAŁE APOKALIPSY

Były też lokalne przesunięcia ludności, często dziś już zapomniane, ale również pełne cierpienia. Polscy Białorusini z Podlasia uciekali przed przemocą (np. po pacyfikacjach oddziału „Burego" w 1946 roku). Dziesiątki tysięcy osób wyemigrowało do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, w strachu zostawiając wszystko za sobą.

Także Żydzi mierzyli się z wrogością, która bynajmniej nie skończyła się wraz z Holokaustem i niemiecką okupacją. Paulina Chmielnicka w *Księdze wyjścia* Mikołaja Grynberga wspominała: „Po wojnie [rodzice – przyp. red.] wrócili, ale nie do Warszawy, bo tam już nikogo nie było. Osiedlili się w Łodzi. (...) Myślę, że od początku chcieli wyjeżdżać z Polski. Mama chciała do Izraela, bo odkryła, że tam ma jedyną kuzynkę. Tatuś się nie zgodził i zostaliśmy". Viola Wein relacjonowała: „Urodziłam się w 1946 roku. Moi rodzice poznali się po wojnie. Mama była śpiewaczką operową, ojciec był historykiem, przedtem pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego".

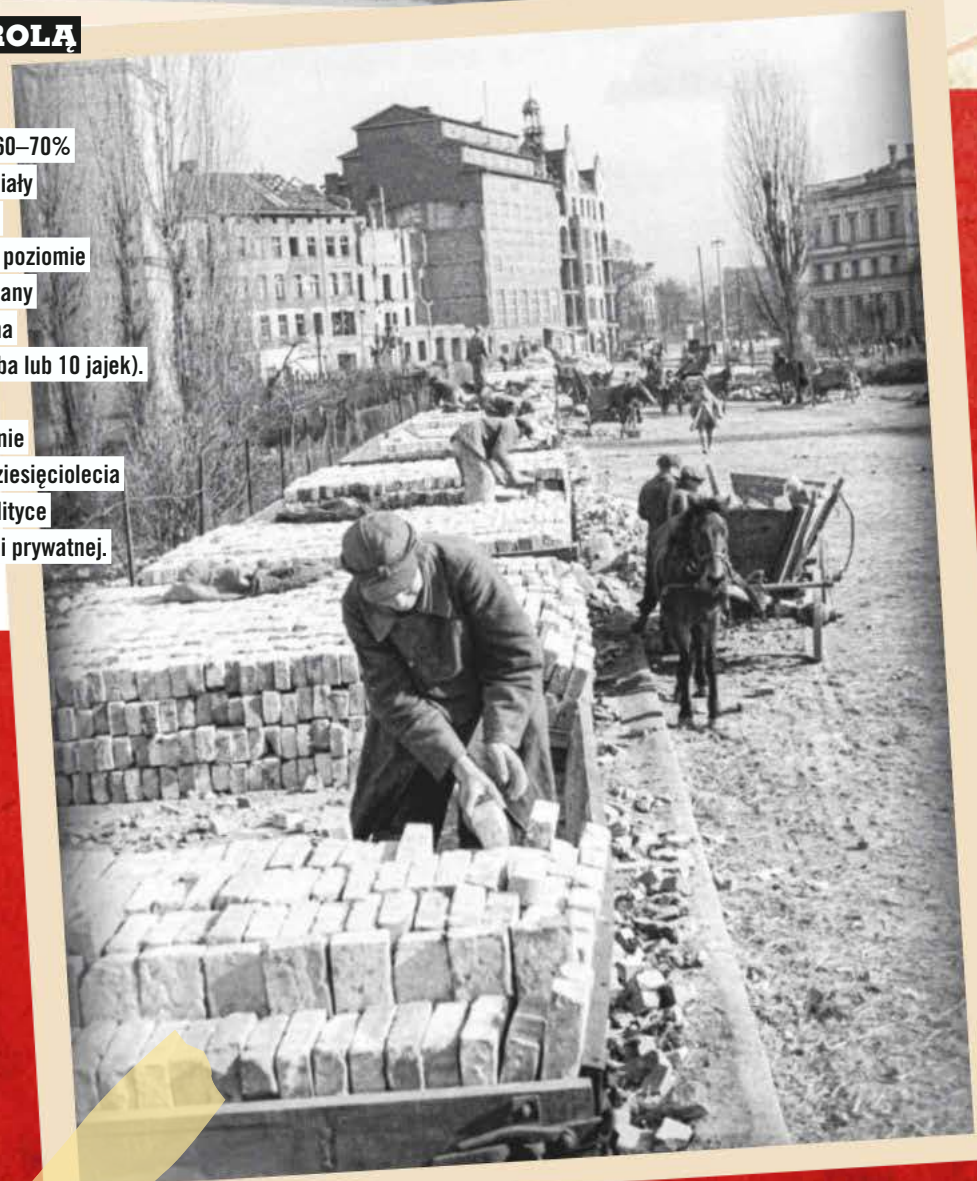
Te historie pokazują, jak ocaleni próbowali budować życie na miejscu, ale trauma i antysemityzm pchały ich dalej. Pogrom w Kielcach, do którego doszło 4 lipca 1946 roku, stał się symbolem – 40 zabitych i ponad drugie tyle rannych wzbudziło falę paniki. Wielu Żydów zdecydowało się wówczas na ucieczkę. Wyjazdy nasiliły się zwłaszcza w latach 1946–1947: przeszło 100 tysięcy osób wyruszyło do Izraela, USA lub na zachód Europy, bo Polska nie była już ich domem.

eprasa.pl d83e96798c



MIESZKANIA POD KONTROLĄ

Straty mieszkaniowe Polski były największe w Europie – zniszczeniu uległo ok. 2 mln lokali. Warszawa utraciła 72–84% kubatury, Wrocław 60–70% (oba miasta na fotografiach). Władze odpowiedziały systemem kwaterunkowym: przydziałem według norm 7–10 m² na osobę. Czynsze zamrożono na poziomie z 1 września 1939 roku, co wobec inflacji i wymiany pieniądza dawało symboliczne kwoty (miesięczna opłata za 50 m² odpowiadała wartości 2 kg chleba lub 10 jajek). Dodatkowo dekret z 26 października 1945 roku o gruntach warszawskich upaństwowił praktycznie wszystkie ziemie w stolicy. Rozwiązania te na dziesięciolecia podporządkowały gospodarkę mieszkaniową polityce państwa, prowadząc do marginalizacji własności prywatnej.



się administracyjnym kategoriom. Ocalali z zagłady Romowie kontynuowali tradycyjne formy poruszania się. Ich mobilność nie mieściła się ani w logice przesiedleń, ani planowego osadnictwa. Była raczej sprawdzoną strategią przetrwania. Romskie tabory jeszcze przez dwie dekady przypominały, że powojenna polska wędrówka ludów bynajmniej się nie skończyła – zaś historia migrantów wciąż kołem się toczy...

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

ZDJĘCIA: Adobe Stock; FoKa/Forum; NAC (2); Przystanek Historia AIPN; Shutterstock; Wikimedia Commons (7); Designed by Freepik INFOGRAFIKA: Agencja Wyborcza

eprasa.pl ti83e96798c



ŹRÓDŁO LEGENDY

Antyczny geograf Ptolemeusz Klaudiusz nazwał nasze dzisiejsze ziemie na wschód od Wisły Sarmacją. Choć jego mapa zawierała przekłamania i wymysły, stała się kamieniem węgielnym polskiego sarmatyzmu. Szlachta miała „dowód", że pochodzi od dzielnych wojowników.

50 TWARZY KOCZOWNIKÓW

Jak wyglądali Sarmaci? Choć byli pochodzenia irańskiego, wraz z ekspansją na zachód podbijali oraz asymilowali inne ludy, przez co stali się zróżnicowani etnicznie. Owidiusz oraz Ammianus Marcellinus pisali, że członkowie niektórych plemion mieli jasne włosy. Sarmatami mogli więc być zarówno wysocy, „europejscy" blondyni, jak i osoby o azjatyckiej aparycji.

SARM

PRZODKOWIE



Nasza szlachta wierzyła, że wywodzi się od starożytnych walecznych nomadów, którzy mieli podbić słowiańskich rolników i stać się elitą społeczeństwa. Co ciekawe, w tej legendzie tkwi ziarno prawdy...

SARMACI POLAKÓW?

Sarmacki mit jako jeden z pierwszych sformułował kronikarz Jan Długosz, choć już Wincenty Kadłubek pisał, że Lechici to starożytny naród zmagający się z ówczesnymi potęgami – m.in. z Macedonią Aleksandra Wielkiego czy Rzymem Juliusza Cezara. Długosz sugerował natomiast, że Polacy pochodzą od Sarmatów, co później rozwinęli humaniści tacy jak Marcin Kromer. Legenda, kultywowana przez szlachecką brać, podkreślała jej wyjątkowość i odrębność od reszty społeczeństwa: chłopi mieli być potomkami biblijnego Chama, podczas gdy oni – bohaterskich wojowników. W Rzeczpospolitej Obojga Narodów sarmacka ideologia i kultura manifestowały się w strojach, obyczajach oraz wartościach: umiłowaniu wolności, gościnności, ale też ksenofobii i konserwatyzmie. Charakterystyczne kontusze, w które ubierali się „panowie bracia", czy noszone przez nich żupany i szable inspirowane były wzorcami wschodnimi. Miały symbolizować pradawne dziedzictwo. Kim jednak byli rzekomi przodkowie polskiej szlachty?

STEPOWI OKRUTNICY

Pierwsze wzmianki na ich temat w źródłach pisanych pochodzą z około VI–IV wieku p.n.e. Korzenie Sarmatów sięgają stepów między Wołgą a Donem. Byli częścią większej grupy ludów irańskich, blisko spokrewnionymi ze Scytami.

Ci ostatni panowali na stepach Azji oraz (później) południowo-wschodniej Europy od VII do IV–III wieku p.n.e., gdy zostali wyparci właśnie przez Sarmatów. Pochodzili z Azji Środkowej i mówili językami irańskimi. Herodot, grecki historyk z V stulecia p.n.e., opisywał ich jako mistrzów łucznictwa konnego. >

eprasa.pl d83e96798c



ORIENTALNY SZNYT
Wierząca w swoje sarmackie pochodzenie szlachta uwielbiała sięgać po wschodnie elementy ubioru i uzbrojenia – obecne zarówno w kroju żupanów, jak i w formie szabel oraz łuków. Miękko układające się tkaniny, bogate pasy czy charakterystyczne nakrycia głowy przywoływały dziedzictwo stepowe, które przenikało do kultury Rzeczpospolitej wraz z kontaktami wojennymi i handlowymi. Uwagę zwracają również części uzbrojenia ochronnego – stożkowate hełmy, kolcze koszule oraz zdobione tarcze, wskazujące na fascynację tradycjami tatarskimi i osmańskimi.

Według niego żyli w koczowniczych hordach. Słynęli z okazałych kurhanów grobowych, w których znajdowano później złoto oraz przedmioty ozdobione motywami zwierzęcymi. Ich społeczeństwo miało charakter wojowniczy – również kobiety sięgały po broń.

Na co dzień utrzymywali się z hodowli bydła, polowań i handlu. Religia Scytów opierała się na kulcie natury i szamanizmie. Herodot podkreślał ich okrucieństwo: mieli skalpować wrogów, pić krew pokonanych, z ich skór robić nakrycia na konie, a z czaszek – kubki. Ten opis jest jednak raczej przesadzony, choć dobrze oddaje lęk, jaki wojownicy ze stepów budzili u sobie współczesnych.

NIECH ŻYJE WOLNOŚĆ

Sarmaci ponoć odziedziczyli wiele z tych tradycji. Herodot przypisywał im pochodzenie od Scytów i mitycznych Amazonek. Ten fantastyczny opis prawdopodobnie wynika z faktu, że również w społeczeństwie sarmackim panie stawały do walki, czego dowodzi uzbrojenie znajdowane przez archeologów w kobiecych grobach.

Sarmaci prowadzili wędrowny tryb życia, przemieszczając się wraz z bydłem po bezkresnych stepach. Ich społeczeństwo miało charakter egalitarny – nie utrzymywali niewolników. Religia tych ludów opierała się na kulcie ognia, słońca i przodków, z widocznymi elementami szamanizmu. Zmarłych grzebano w kurhanach, często razem z końmi, bronią oraz okazałymi, złotymi ozdobami. Podstawę diety stanowiło mięso i fermentowane kobyle mleko. Byli gościnni, ale jednocześnie bardzo cenili wolność i nie uznawali władzy centralnej. Konfederacje plemion, takich jak Alanowie, Jazygowie czy Roksolanie, miały luźną strukturę i wybierały wodzów tylko na czas wojny.

SARMACI KONTRA IMPERIUM

Około IV wieku p.n.e. Sarmaci zaczęli opuszczać swe pierwotne siedziby. Poszukiwali świeżych pastwisk, lecz ich ekspansja była też napędzana presją z Azji oraz konfliktami z innymi koczownikami, m.in. prącymi na zachód Hunami. Do I stulecia n.e. Sarmaci wchłonęli swoich pobratymców Scytów oraz dotarli nad Dunaj, gdzie nawiązali kontakt z Imperium Rzymskim.

Cesarstwu przybył wtedy nowy, niezwykle groźny przeciwnik. Sztuka wojenna koczowników sprawiała, że byli postrachem starożytnego świata. Słynęli jako mistrzowie kawalerii: lekkiej i ciężkiej (tzw. katafraktów). Używali kompozytowych łuków, długich lanc (kontos) i mieczy. Ich łuskowe zbroje – z metalu albo kości – chroniły zarówno jeźdźców, jak i konie.

Po dotarciu do granic mocarstwa stali się wyjątkowo niebezpiecznym

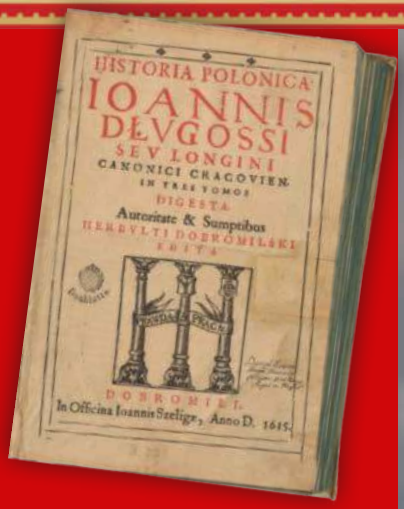
graczem politycznym. Wielokrotnie sprzymierzali się z Rzymem przeciwko ludom barbarzyńskim – ale też wspólnie z nimi atakowali imperium. O randze wroga świadczyć może fakt, że zwycięstwa nad plemionami sarmackich Jazygów skłoniły cesarza Marka Aureliusza do nadania sobie przydomka Sarmaticus. W wyniku wymuszonego pokoju w 175 roku n.e. wojownicy ze wschodu oddali Rzymowi zakładników i dostarczyli aż 8000 jeźdźców do jego armii.

Bitni koczownicy zaczęli znikać z kart dziejów, gdy ich duże związki plemienne rozdrobniły się i rozeszły po Eurazji. Wpływ mieli na to przede wszystkim Hunowie, którzy po 370 roku n.e. wdarli się do Europy. Ostatecznie do VI wieku Sarmaci przestali stanowić odrębną siłę, a ich kultura rozproszyła się wśród innych ludów. Ci, którzy zostali na Kaukazie, dali początek narodowi Osetyjczyków – uważanych przez naukowców za jedynych bezpośrednich potomków sarmackiego plemienia Alanów.

SZLACHTA ZNAD OCEANU

Skąd wśród polskiej szlachty pojawiło się przekonanie o pochodzeniu od irańskojęzycznych nomadów? Piewcy sarmatyzmu opierali się bezkrytycznie na starożytnych źródłach – takich jak mapa Ptolemeusza Klaudiusza. Ten rzymski geograf, żyjący w II wieku n.e., dzielił znany antyczny świat na dwie główne części: Germanię i Sarmację. Ta druga miała się znajdować na wschód od Wisły. Tereny między Wisłą a Donem określał Sarmacją Europejską, za nią natomiast rozciągała się Sarmacja Azjatycka. Z kolei Morze Bałtyckie nazwał Oceanem Sarmackim.

Mapa Ptolemeusza była wodą na młyn dla „panów braci": uzasadniała ich wyjątkowe, szlachetne pochodzenie. W przeciwieństwie do chłopów potomkowie Sarmatów nie musieli wszak kalać się pracą na roli. Ich przeznaczeniem, podobnie jak przodków żyjących w siodle, była wojaczka i niezależność. Na wzór egalitarnych w swej strukturze bitnych plemion wszyscy czuli się równi sobie, choćby jeden żył w pałacu, a drugi – w ziemiance. Mit sarmacki całkowicie pomijał krytyczną analizę źródeł. Antyczni geografowie, nadając ziemiom nazwy pochodzące od określeń miejscowych ludów, często opierali się na niepełnych lub nieaktualnych informacjach, a także posługiwali daleko idącymi uogólnieniami. W Rzeczpospolitej szlacheckiej nikt się jednak takimi detalami nie przejmował.



PIEWCA MITU
Jan Długosz (1415–1480) jest uznawany za pierwszego polskiego kronikarza, który w swoich dziełach zaczął utożsamiać przodków naszej szlachty ze starożytnymi Sarmatami.

W STEPIE SZEROKIM

Współcześnie naukowcy nie mają żadnych wątpliwości, że sarmatyzm należy traktować wyłącznie jako barwny nurt ideologiczny, a nie rzeczywisty fakt historyczny. >

KORZENIE SKRZYDLATEJ POTĘGI
Czy polskie upodobanie do kawalerii, czego wyrazem była niezwyciężona husaria, to echo starożytnej przeszłości i ciężkiej jazdy sarmackiej? Taką sugestię wysunął archeolog dr Tadeusz Sulimirski.

>



ŚLADAMI AMAZONEK

Amazonki miały być plemieniem wojowniczek, które według antycznych historyków zamieszkiwały na terenach Scytów i Sarmatów. Legenda ta nie jest całkowicie wyssana z palca. Naukowcy potwierdzili, że wiele sarmackich kobiet chwytało za oręż. W ich grobach znaleziono elementy uzbrojenia.

Nie znaczy to jednak, że w koncepcji Sarmatów jako „protoplastów" Polaków nie ma ziarna prawdy.

Taką hipotezę wysunął polsko-brytyjski archeolog dr Tadeusz Sulimirski. W swojej pracy *Sarmaci* wydanej pierwotnie po angielsku w 1970 roku wskazał na przesłanki świadczące o tym, że wpływ na Słowian ze strony wschodnich nomadów był – i to istotny. Mieli go wywierać przede wszystkim Alanowie. To właśnie oni, migrując z azjatyckich stepów, wmieszali się w ludność słowiańską w Europie Środkowej i Wschodniej, narzucając jej nie tylko nazewnictwo, ale też dominację...

Sulimirski uważał, że wymieniane przez rzymskiego kronikarza Jordanesa słowiańskie plemię Antów (jedno z trzech, obok Sklawenów i Wenedów) było w rzeczywistości zeslawizowanymi Sarmatami, utożsamianymi z południowo-wschodnią częścią Słowiańszczyzny, czyli głównie z terenami dzisiejszej Ukrainy.

CHORWACJA NAD WISŁĄ

Przybysze mieli wywrzeć piętno także na etnogenezie Polaków oraz Serbów i Chorwatów. Zdaniem bizantyjskiego cesarza i kronikarza Konstantyna Porfirogenety przodkowie bałkańskich Słowian dotarli nad Adriatyk ze swoich siedzib w Europie Środkowej – z krain znanych jako Biała Serbia i Biała Chorwacja. Ta pierwsza leżała prawdopodobnie na obszarze Łużyc oraz północnych Czech, być może również na Dolnym Śląsku. Sulimirski na kartach *Sarmatów* wymienił szereg miejscowości w Polsce, których nazwy miałyby pochodzić od koczowniczych przybyszów – takich jak Serby, Sarbinowo czy Sarbice.

epraca.pl/d83e96798c

Z kolei lokalizacja Białej Chorwacji pozostaje sporna – wskazuje się na północne Czechy lub Małopolskę. Archeolog nie wykluczał również, iż była ona tożsama z opisywanym przez kronikarzy obszarem zamieszkałym przez Wiślan.

Według Sulimirskiego praojczyzna ludów, które dały początek narodom bałkańskim, miała być ulokowana zupełnie gdzie indziej: tysiące kilometrów na wschód, na północ od Morza Czarnego i Azowskiego. Niektórzy antyczni autorzy wymieniają ludy o nazwach Serboi i Choroatos wśród mieszkańców Kaukazu. Sulimirski łączył je z Alanami i uważał, że to właśnie stamtąd dotarły one do Europy. (Teoria ta pozostaje jednak przedmiotem dyskusji wśród historyków). Ludy stepowe dla oznaczenia kierunku geograficznego stosowały kolory. Biały oznaczał zachód – stąd po osiedleniu się wśród Słowian narzucili nazwy dla nowych ojczyzn: Biała Chorwacja i Biała Serbia.

Zgodnie z hipotezą Sulimirskiego Alanowie zostali podbici przez Hunów w 375 roku i zmuszeni do wspólnych wypraw przeciw innym ludom Europy, m.in. Gotom. Możliwe, że z rozkazu swych nowych zwierzchników stali się klasą panującą wśród podporządkowanych Słowian albo sami zaoferowali im ochronę w zamian za władzę. Ostatecznie jednak stopniowo ulegli slawizacji.

Naukowiec zwrócił uwagę na zadziwiające analogie między średniowiecznymi polskimi herbami rycerskimi a sarmackimi tamgami – czyli starożytnymi znakami rodowymi. Według niego to właśnie z tamg wywodzą się np. herb Abdank rodu Awdańców oraz herb Odrowąż. Sulimirski wskazywał również na kwestie językowe: podobieństwo znacznej części słownictwa słowiańskiego do staroirańskiego, którym posługiwali się Sarmaci i Scytowie. Dotyczy to zwłaszcza pojęć związanych z wiarą, takich jak bóg czy raj.



SZTUKA WALKI
Wojownicy sarmaccy i scytyjscy brylowali w jeździe konnej. Świetnie posługiwali się też łukiem. Do rażenia wrogów używali tzw. łuków refleksyjnych o małych rozmiarach (wygodnych podczas jazdy wierzchem), ale dużej sile i zasięgu.

WIELOKULTUROWY ŚWIT

Czy wszystko to dowodzi, że polska szlachta miała rację, podkreślając swoją odrębność i „wyjątkowe" pochodzenie? Odpowiedź brzmi: nie. Koncepcje mówiące o wpływach ludów stepowych na Słowiańszczyznę nadal są przedmiotem dyskusji naukowców, jednak nawet jeśli rzeczywiście one istniały, to podpieranie się nimi tysiąc lat później dla partykularnych celów politycznych i dominacji społecznej było więcej niż nadużyciem.

Grupy nomadów już setki lat przed powstaniem państwa polskiego utraciły swoją odrębność i wtopiły się w ludność słowiańską. Trzeba też pamiętać, że Sarmaci nie byli jedynymi, którzy wywarli wpływ na społeczności zamieszkujące tereny nad Wisłą. Przez wieki na naszych ziemiach pojawiały się różne ludy, m.in. Celtowie, a także Goci i Wandale. Ślady ich obecności, choćby w nazwach rzek i miejscowości, są widoczne w języku polskim do dziś. Barwna legenda z pewnością dodawała Rzeczpospolitej szlacheckiej wyjątkowego kolorytu. Była jednym z elementów wyróżniających wtedy naszą kulturę – i w ten właśnie sposób należy ją postrzegać: jako dziecko swojej epoki. Warto jednak pamiętać, że sarmatyzm stał się także wygodnym wytłumaczeniem dla oporu przed reformami i utrwalania przez szlachtę patologii, które z czasem doprowadziły Rzeczpospolitą do upadku.

MARCIN MONETA



ZŁOTE I NIESKROMNE
Sarmaci i Scytowie kochali złoto. Z tego kruszcu wytwarzali pięknie zdobioną biżuterię i przedmioty codziennego użytku, a także elementy broni dla wodzów oraz możnych.

KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski
ZDJĘCIA I ILUSTRACJE: Adobe Stock (3); mat. redakcyjne/AI; GAWUC/Reporter/East News; Shutterstock (2); Wikimedia Commons (4)

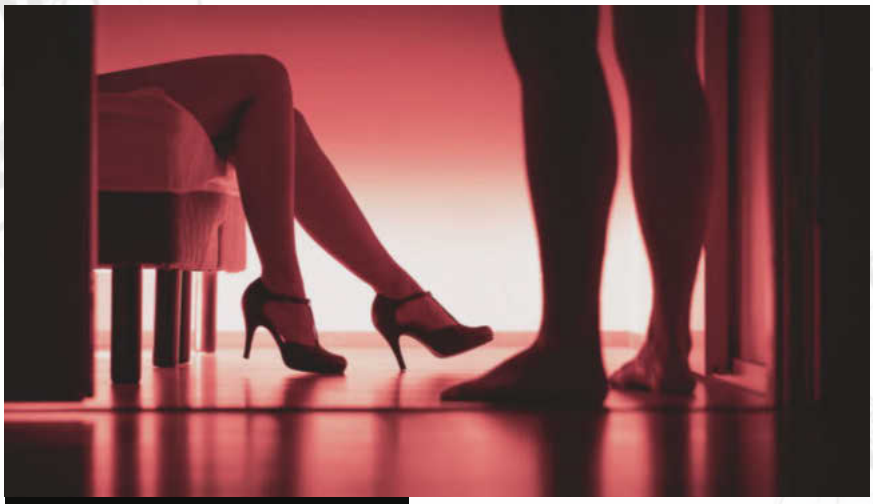
eprasa.pl d33e967990



ZŁAPAĆ SZPIEGA

JAK DZIAŁAŁ KONTRWYWIAD PRL?

Punkty obserwacyjne, fałszywe dokumenty i radiostacje ukryte pod ubraniem – tak wyglądała codzienność w Biurze „B". Pracownicy „urzędu, którego nie było" mieli za zadanie demaskować zachodnich szpiegów.



Od 1945 do 1990 roku wywiad i kontrwywiad Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej jako sojusznik „bratniego" narodu radzieckiego był skoncentrowany głównie na walce z kapitalistycznymi państwami zachodnimi. Chodziło nie tylko o to, by zainstalować szpiegów po drugiej stronie żelaznej kurtyny, ale też uważnie obserwować tych nielicznych obcokrajowców, którzy przyjeżdżali nad Odrę i Wisłę. Najczęściej byli to dyplomaci, lecz także naukowcy, sportowcy czy artyści. Bo właśnie pod taką „legendą", a więc fikcyjną tożsamością, byli przerzucani do naszego kraju agenci obcych służb specjalnych – z amerykańską CIA i brytyjskim MI6 na czele. „W latach 70. i 80. XX wieku niepozorny gracz w postaci Polski stał się trudnym do zignorowania przeciwnikiem w ówczesnej rozgrywce pomiędzy Układem Warszawskim i NATO. W 1978 roku słynny amerykański magazyn »Time« opublikował ranking, stworzony wspólnie z oficerami zachodnich służb specjalnych, w którym funkcjonariuszy polskiego wywiadu umieszczono w ścisłej światowej czołówce. Media na całym świecie informowały jednocześnie o licznych aresztowaniach obcych agentów na terenie PRL, a więc o sukcesach polskiego kontrwywiadu" – pisze Tomasz Awłasewicz, autor książki *Łowczynie szpiegów*, opartej na rozmowach z byłymi pracownicami Biura „B" MSW. Czym ono było?

HOTELE POD NADZOREM

Mało którego obywatela Polski Ludowej stać było na nocleg w lepszym hotelu w Warszawie czy Krakowie. Klientelę stanowili głównie goście zagraniczni. Z tego powodu roiło się tam również od agentury.
– Czym zajmowała się hotelówka? Mówiąc skrótowo: zabezpieczeniem pobytu figurantów, zwłaszcza obcokrajowców, w hotelach, obserwacją takich osób na terenie hotelu oraz koordynacją działań z sekcjami obserwacji w momentach, w których figurant wychodził na miasto
– wspomina jedna z wywiadowczyń na kartach książki Tomasza Awłasewicza. Ze służbami współpracowali cinkciarze, oferujący przybyszom z zagranicy wymianę waluty po korzystnym kursie. W hotelowym barze przesiadywały zaś panie do towarzystwa. Spora ich część brała pieniądze także od kontrwywiadu.
– Na kontakcie byli, w dużej liczbie, kelnerzy i kierownicy restauracji oraz portierzy. (...) W obszarze naszego zainteresowania były też oczywiście prostytutki
– mówi była pracownica Betki.

URZĄD, KTÓRY NIE ISTNIAŁ

Głównym zadaniem wywiadowców z tzw. Betki była całodniowa obserwacja figurantów – czyli obcokrajowców, których podejrzewano o służbę na rzecz wrogich wywiadów. Tym zajęciem pod żadnym pozorem nie można było chwalić się znajomym, a nawet rodzinie.

Pod warstwą codziennego życia istniała organizacja wraz z siecią współpracujących osób, zupełnie niewidoczna dla reszty obywateli. Zaczynało się od samej siedziby. W Krakowie baza wywiadowców z Betki mieściła się w fikcyjnym urzędzie przy Plantach: oddziale terenowym Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii. W rzeczywistości placówka była tylko przykrywką. Jeśli zdarzyło się, że zawitał tam jakiś petent, przy wejściu witała go „pani z recepcji" – pracownica służb, która odsyłała go do innego biura... – *Wiedziała, gdzie są inne oddziały urzędu, miała numery, pod które można było zadzwonić, ale też sama znała odpowiedzi na podstawowe pytania oraz orientowała się w nazwiskach autentycznych pracowników. Dodatkowo siedziała w otoczeniu, które uwiarygadniało ją w oczach interesanta – wokół kładliśmy zawsze stos jakiegoś badziewia typu łaty, tyczki, walizki z przyrządami do pomiarów, mapy i rzucające się w oczy, jaskrawe kamizelki* – opowiada jedna z bohaterek książki Awłasewicza.



NUKLEARNI WŁAMYWACZE

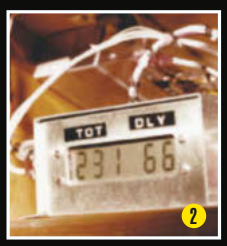
Placówki dyplomatyczne Stanów Zjednoczonych stanowiły najważniejszy cel dla kontrwywiadu PRL. Pracownicy Wydziału IX, nazywani obiektowymi, bywali w nich wielokrotnie. Buszowali po konsulatach USA w Krakowie i Poznaniu, również wtedy, gdy w budynkach tych przebywali ludzie. Włamywali się do tzw. bunkrów, czyli punktów szyfrowych, do których przychodziły depesze CIA.



SZYFR PRZEŚWIETLONY

Amerykanie nie docenili kreatywności i determinacji polskich agentów: widocznej obok pancernej szafy nie przytwierdzili do ściany. To wystarczyło. Aby uzyskać obraz zamka szyfrowego, włamywacze z tyłu sejfu umieścili promieniotwórczy izotop, a z drugiej strony – kliszę. Poznawszy prawidłową kombinację, PRL-owscy szpiedzy zdobyli dostęp do tajnych dokumentów USA.









UWAGA, JESTEŚ W UKRYTEJ KAMERZE!

Drzwi do „bunkra" w konsulacie USA w Poznaniu obserwowała kamera ukryta w regale (1). Licznik klatek (2) przesuwał się, gdy na taśmie nagrało się coś nowego, po tym jak czujnik ruchu (podłużny na zdj. nr 3) aktywował kamerę (4).







POLAK POTRAFI

Wejścia do „bunkra" konsulatu USA w Krakowie strzegły pancerne drzwi (na zdj. powyżej). Producent zapewniał, że trzeba aż 20 godzin naświetlania, by uzyskać obraz zamka szyfrowego. Polski wydział straceńców używał jednak tak silnego izotopu, iż wystarczyły dwie godziny. Z kolei licznik wejść do „bunkra" PRL-owscy szpiedzy podrobili...

SZTUKA INWIGILACJI

Każdy dzień pracy w Biurze „B" Ministerstwa Spraw Wewnętrznych był nieustanną pogonią za obserwowanymi – przez tzw. patyki, zarówno samochodami, jak i pieszo. Poszczególnych figurantów „obstawiało" nawet po kilkadziesiąt osób. Agenci poruszali się niczym w sztafecie.

– *Na jedną zmianę tylko z naszego wydziału wyjeżdżało około dziesięciu aut, czasem więcej. W ciągu doby na ulicach Warszawy pojawiało się więc ponad trzydziestu naszych kierowców i muszę powiedzieć, że jak na to, jak szybko trzeba było się przemieszczać i jak skomplikowane to były działania, my naprawdę byliśmy bezszkodowi. Ganianki były nieraz z taką prędkością, że milicja za nami wyjeżdżała w pościg. Przyciskało się do szyby legitymację i jechaliśmy dalej. Wisłostradą pędziliśmy nieraz ponad sto kilometrów na godzinę, a jednocześnie nawet głupie obtarcie auta było w Biurze „B" sensacją, o której mówiło się przez trzy tygodnie* – opowiada była pracownica Betki.

Z każdej obserwacji figuranta zdawano raport: o której godzinie wyszedł, gdzie się kierował, z kim rozmawiał itp. Dokładną inwigilację zapewniała siatka funkcjonariuszy, pełniących dyżury m.in. w tzw. punktach zakrytych (pezetach), a więc mieszkaniach, które służyły do obserwacji. Placówkę dyplomatyczną USA w Warszawie podglądano z czterech takich lokali. Jeden mieścił się przy ul. Pięknej 11. – *To było duże, kilkupokojowe mieszkanie ze sporą kuchnią i łazienką, w którym w jednym z pomieszczeń zorganizowano stanowisko do obserwacji ambasady. Co ciekawe, do tego pokoju wchodziło się przez szafę – tak na wszelki wypadek. Gdyby na kontrolę w mieszkaniu przyszedł ktoś obcy, na przykład z gazowni, należało go wpuścić jak gdyby nigdy nic – wnętrze mieszkania przed szafą wyglądało normalnie. Natomiast w pomieszczeniu po drugiej stronie szafy stała wielka, jak ja to nazywam, luśnia – aparat z bardzo długim obiektywem* – wspomina jedna z wywiadowczyń.

egzemplarz prywatny



EPICENTRUM ZDARZEŃ

Dla bezpieki nie było ważniejszego miejsca do obserwacji niż ambasada USA. Wokół niej zorganizowano aż cztery punkty zakryte, z których podglądano obiekt. Na usługach wywiadu byli także milicjanci w dwóch budkach strażniczych – oficjalnie ochraniający placówkę (na zdj. fotoreporter Jan Hausbrandt na tle tego strategicznego budynku w 1980 roku).

W praktyce szpiedzy ślęczący godzinami w punktach zakrytych nie mogli liczyć na luksusy. Była to ciężka i żmudna praca. Ze względu na skalę działalności Biura „B" zdarzało się, że kryjówki organizowano w domach zwykłych ludzi. – *Naszą obecność tłumaczyło się na przykład potrzebą obserwacji złodzieja czy innego pospolitego kryminalisty (oczywiście nieistniejącego). Proszę sobie wyobrazić, że obok tego parapetu stała kozetka, na której spała starsza pani zajmująca to mieszkanie* – opowiada była pracownica Betki.

OPERACJA „OBSERWACJA"

Wywiadowców, którzy prowadzili inwigilację figuranta bezpośrednio na ulicy, czekał na służbie intensywny trening kondycyjny. Musieli nie tylko wykazać się dobrą formą fizyczną, ale również umiejętnością pozostania niezauważonym. Agent nie mógł pokazywać się zbyt często w pobliżu osoby śledzonej, aby nie zostać zapamiętanym. Dlatego funkcjonariusze regularnie się wymieniali, a ci, którzy już wcześniej ją minęli, przebierali się i pojawiali ponownie dopiero po pewnym czasie. Jeden obcokrajowiec mógł mieć „na ogonie" nawet kilkudziesięciu ludzi! Za figurantami wchodzono do budynków, jechano z nimi windą, towarzyszono w trakcie wizyt w sklepach czy restauracjach – w razie potrzeby zajmując stolik oraz coś zamawiając.

Podczas wszystkich tych działań wywiadowca musiał pozostawać w kontakcie z bazą. Nie były to czasy telefonów komórkowych, za „obiektem" goniło się więc z ciężką radiostacją ukrytą pod ubraniem. W latach 70. i 80. ubiegłego wieku nikt nie rozmawiał głośno na ulicy, korzystając z bezprzewodowych słuchawek i mikrofonów bluetooth. Dlatego „gadanie do siebie" (czyli do radiostacji) wzbudzało podejrzenia. Należało to robić dyskretnie. >



GRA WYWIADÓW

Kontrwywiad Polski Ludowej miał opinię jednego z najlepszych na świecie. Rywalizacja między blokami kapitalistycznym i komunistycznym trwała także na tym polu. Dlatego MSW lubiło chwalić się sukcesami – faktycznymi bądź naciąganymi – na polu zwalczania wrogiej agentury. W tym celu organizowano konferencje prasowe, na których służby z dumą prezentowały efekty swoich prac, takie jak zarekwirowane obcym wywiadowcom notatki, korespondencję, nielegalną walutę, tajne informacje zapisane na taśmach (na zdj. materiały skonfiskowane agentom pracującym nad Wisłą). Obcy szpiedzy, którzy docierali do Warszawy czy Krakowa w epoce bez telefonii mobilnej, porozumiewali się ze swoimi polskimi kontaktami przy użyciu znaków malowanych np. na murach i skrytek, gdzie zostawiali wiadomości czy pieniądze na dalszą działalność. W ten sposób wspierano też antykomunistyczną opozycję spod znaku Solidarności.

Oprócz radiostacji agenci dźwigali kamery oraz aparaty fotograficzne ukryte w specjalnie zaprojektowanych torbach i saszetkach. – *Robienie zdjęć wymagało ogromnej wprawy i pewnej ręki – obiektyw trzeba było skierować w odpowiednie miejsce, nie mając przecież aparatu przy twarzy. Dodatkowo, należało uważać, by w momencie pstryknięcia nie poruszyć saszetką. Przycisk zwalniania migawki był najczęściej w jej dolnej części, jak gdyby od spodu, a dziurkę na obiektyw kamuflowało się jakimś elementem ozdobnym, przykładowo metalowym kółeczkiem, podkówką, listkiem stosowanym przez rymarzy* – opowiada jedna z byłych wywiadowczyń.

SZPIEDZY TACY JAK MY

Tomaszowi Awłasewiczowi udało się także skontaktować z osobami, które w czasach zimnej wojny znajdowały się po drugiej stronie barykady – i przebywały w Polsce. Zadaniem zachodnich agentów było przede wszystkim niewzbudzanie podejrzeń. Musieli utwierdzać nasze służby w przekonaniu, że życie na placówce przebiega rutynowo. Istotne było również, by celowo „nie zauważać" obecności śledzących ich osób. – *Pamiętam, że kiedyś przez pomyłkę skręciłem w ulicę, która okazała się ślepa. Nie chciałem, by jadący za mną funkcjonariusze myśleli, że zrobiłem to celowo, by ich ujawnić, więc szybko zaparkowałem i wyciągnąłem mapę. Trzymałem ją bardzo wysoko, żeby nic zza niej nie widzieć i żeby oni dobrze widzieli, że na nich nie patrzę. Ich samochód minął mnie, dojechał do końca ślepej ulicy, zawrócił, znów mnie minął, a ja nadal zakrywałem twarz mapą. I wie pan, co to było? To był gest grzeczności, ukłon w stronę obserwacji. Oni dobrze wiedzieli, że nikt nie gapi się tak długo w mapę* – wspomina Michael Sellers, emerytowany oficer CIA, który w latach 80. ubiegłego wieku pojawił się w Warszawie, oficjalnie jako pracownik ambasady.

Szpiegowska kurtuazja nie niwelowała jednak bezwzględnej rywalizacji, której świadomość miały obie strony. Tuż przed przybyciem Sellersa do stolicy z naszego kraju został wydalony Peter Burke – inny amerykański agent podający się za dyplomatę. Wpadł, gdy próbował skontaktować się ze współpracownikiem, oficerem Ludowego Wojska Polskiego.

FORTUNA KAMIENIEM SIĘ TOCZY

Wygląda jak zwykły kamień, ale wewnątrz ukrywał dokumenty, listy, pieniądze. Urządzenie na zdjęciu jest produkcji brytyjskiej, lecz z podobnych kamuflaży korzystały też wywiady krajów komunistycznych. Rywalizacja służb w zakresie przechwytywania korespondencji miała czasem zabawny charakter. W roku 1976 oficer CIA Atherton Noyes podrzucił polskim służbom fikcyjną przesyłkę. W środku zamiast tajnych notatek znajdowała się... wódka i kartka z życzeniami. „Ponieważ miało to miejsce pod koniec grudnia, Noyes życzył funkcjonariuszom »prosperującego« roku 1976. (...) życzenie się szybko spełniło – obserwacja w bardzo zmyślny sposób przechytrzyła Noyesa i nakryła go na pozostawieniu pod drzewem przypominającego kamień kontenera z materiałami wywiadowczymi, przeznaczonego dla pracującego dla CIA podoficera Zenona Celegrata. Polak został aresztowany. Stało się to zaledwie nieco ponad trzy miesiące po otrzymaniu życzeń od Noyesa. Według mojego rozmówcy alkohol został spożytkowany zgodnie z przeznaczeniem" – pisze Tomasz Awłasewicz.



– *Zatrzymał samochód w pobliskiej ciemnej uliczce i na poboczu, nieopodal budynku przy ulicy Płowieckiej 109A, położył na ziemi pojemnik imitujący wyglądem kamień* – opisuje jeden z wywiadowców. – *Polski kontrwywiad w dyskretny sposób zabrał przesyłkę i zbadał jej zawartość. W środku znajdowały się między innymi pieniądze, instrukcje wywiadowcze i pastylki potrzebne do przygotowania roztworów umożliwiających odczytanie listów zawierających tajnopisy, czyli wiadomości napisane atramentem niewidzialnym gołym okiem. Po przeanalizowaniu zawartości służby schowały wszystko do kasy pancernej, a przy ulicy Płowieckiej położyły precyzyjnie wykonaną kopię „kamienia".* W okolicy zorganizowano szereg punktów zakrytych. Zaroiło się od agentów, zamontowano też kamerę. „Kamień" jednak nigdy nie dotarł do adresata – list, w którym Amerykanin wskazał mu miejsce zostawienia przesyłki, wyrzuciła do śmietnika żona Polaka, nieświadoma szpiegowskiej działalności męża. Po paru tygodniach CIA uznała, że żoł-

BETKA W TERENIE

Każdego dnia wywiadowcy Betki chodzili za figurantami z ukrytymi pod ubraniami radiostacjami i aparatami fotograficznymi w torbach. Sprzęt szpiegowski sprzed epoki cyfrowej był duży, ciężki i analogowy. Używanie go wymagało specjalnego przeszkolenia i przede wszystkim dyskrecji. Do nagrywania podsłuchanych rozmów służyły magnetofony szpulowe. Korzystano też z kompaktowych aparatów fotograficznych (np. Tessina 25). Na zdjęciu urządzenia produkcji radzieckiej Kiev-30 i Kiev Vega 2. Do podglądania obiektów z punktów zakrytych używano natomiast aparatów z bardzo dużymi teleobiektywami.







nierz nie przyjdzie, więc Burke otrzymał polecenie zabrania kontenera z pobocza. Istniało przecież ryzyko, że w końcu znajdzie go przypadkowy przechodzień. W nocy z 24 na 25 listopada 1979 roku agent CIA wpadł na gorącym uczynku.

Tak wspomina to płk Janusz Nasiadek, który brał udział w obserwacji: – *Burke zatrzymał auto, wysiadł i mimo że teoretycznie zablokował nam tym samochodem widok z pezetu, to byłem całkowicie pewien, że wziął „kamień”. Po pierwsze, miałem monitor, który pokazywał mi, co tam się dzieje, a po drugie, pod „kamieniem” zamontowano czujnik, który sygnalizował nam, że przedmiot został uniesiony. Jakby tego było mało, na wszelki wypadek „kamień” posmarowaliśmy substancją, która świeciła w odpowiednim świetle. Tak więc gdyby Burke rzucił kontener na ziemię, widząc nadbiegających funkcjonariuszy, mogliśmy udowodnić, że miał go w ręku. Osobiście wydałem przez radiostację rozkaz zatrzymania.* Peter Burke nie trafił do więzienia – chronił go paszport dyplomatyczny. Musiał jednak opuścić nasz kraj. Natomiast Andrzej Badowski, który był adresatem przesyłki, został aresztowany i spędził za kratami dziewięć lat.

NA RATUNEK OBIEKTOWYM

Największym sukcesem kontrwywiadu PRL była jednak działalność tzw. obiektowych, a więc pracowników wydziału IX MSW, którzy przez lata włamywali się do ambasad i innych placówek dyplomatycznych krajów zachodnich. Ich wspomnienia również zebrał i spisał Tomasz Awłasewicz – w wydanej pięć lat temu książce *Niewidzialni. Największa tajemnica służb specjalnych PRL*. Obiektowi nocami, po wejściu do danego budynku, kopiowali tajne dokumenty, robili zdjęcia i przeglądali korespondencję. Działali niczym duchy. Ich sukces nie byłby jednak możliwy bez wsparcia Betki, która odpowiadała za zabezpieczenie akcji. Jej zadaniem była obserwacja pracowników konsulatu w czasie włamania. Gdyby któryś z dyplomatów zdecydował się nocą wrócić do biura, należało natychmiast zaalarmować agentów znajdujących się wewnątrz, by mogli się wycofać i zatrzeć ślady.

Niekiedy konieczne było zastosowanie nadzwyczajnych środków – na przykład podstawienie fikcyjnego milicjanta, który legitymował figuranta, albo sprowokowanie wypadku samochodowego przez celowe uderzenie w jego auto.

PRL NA PODSŁUCHU

Obie książki Tomasza Awłasewicza poświęcone działalności kontrwywiadu PRL ukazują olbrzymią skalę inwigilacji prowadzonej przez aparat bezpieczeństwa. Oprócz tysięcy etatowych funkcjonariuszy „ludzie cienia” wykorzystywali też ogromną sieć współpracowników – w fabrykach, urzędach, na uczelniach i w wielu innych środowiskach. W hotelach, gorliwie obserwowanych przez Betkę, na usługach państwa byli m.in. cinkciarze oraz prostytutki.

Biuro „B” przestało istnieć w 1990 roku – wraz ze zmianą ustroju i nowymi sojuszami międzynarodowymi. Część funkcjonariuszy zrezygnowała z pracy, inni przeszli do Urzędu Ochrony Państwa lub policji. Jakie technologie i metody wykorzystują dziś polskie służby do obserwacji figurantów? Tego możemy się jedynie domyślać...

MARCIN MONETA





WARTO PRZECZYTAĆ

Łowczynie szpiegów **to druga publikacja Tomasza Awłasewicza odsłaniająca kulisy działania kontrwywiadu PRL. Napisał on również książkę *Niewidzialni. Największa tajemnica służb specjalnych PRL* – w brawurowy sposób referującą akcje tzw. obiektowych, a więc wywiadowców włamujących się m.in. do ambasad krajów kapitalistycznych w Polsce Ludowej.**

ZDJĘCIA: AdobeStock; Thomas Backa/Wikimedia Commons (3); TV, Witold Jaroslaw Szulecki, Jan Hausbrandt/East News (3); IPN (8); Shutterstock (2); Shutterstock arch.; mat. prasowe



GDZIE DWÓCH SIĘ BIJE...
Sobór w Pizie miał rozwiązać patową sytuację w Kościele, ale doprowadził jedynie do kuriozalnej eskalacji konfliktu. W roku 1409 kardynałowie ogłosili detronizację dwóch konkurujących ojców świętych – Benedykta XIII (na tej metaforycznej ilustracji siedzi po lewej) i Grzegorza XII (po prawej). Wybór kolejnego następcy św. Piotra, Aleksandra V (u góry), tylko pogłębił chaos. W rzeczywistości dostojnicy nigdy się nie spotkali. Woleli rzucać na siebie klątwy na odległość.

NIEŚWIĘTA TRÓJCA

Trzech papieży, jedna Europa i bezwzględna walka o władzę, w której stawką były nie tylko dusze wiernych, ale przede wszystkim pieniądze oraz wpływy. Wielka schizma zachodnia to czas, gdy Kościół stał się polem bitwy monarchów, a namiestnicy Boga – pionkami w grze o panowanie nad światem.



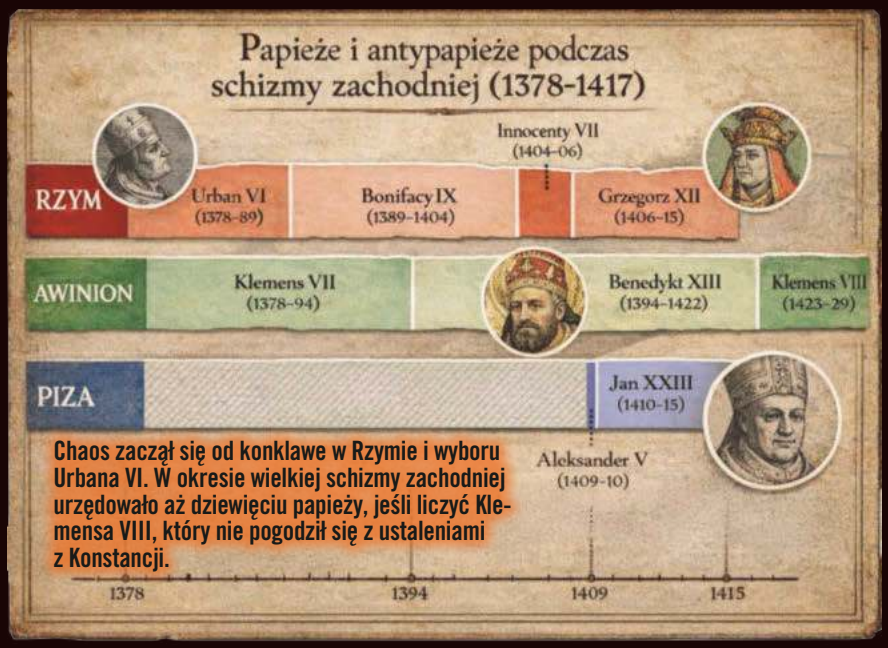
Rzym, marzec 1378 roku. Zapach kadzidła nie jest w stanie zamaskować unoszącego się w powietrzu niepokoju. Czuć strach i gniew tłumu zgromadzonego wokół Pałacu Laterańskiego. W zamkniętej komnacie kardynałowie mają wybrać nowego ojca świętego. Najmniejszy błąd może kosztować ich życie.
Piza, czerwiec 1409 roku. Europa patrzy, jak Kościół pogrąża się w coraz głębszym chaosie, a prawo do tronu Piotrowego rości sobie dwóch papieży. Ale rozwiązanie okazuje się jeszcze bardziej absurdalne: sobór wybiera trzeciego.

SCHWYTAĆ PAPIEŻA!

Jak doszło do tego, że oficjalnie urzędowało jednocześnie trzech papieży, a Kościół zmienił się w pole zażartej bitwy? Wszystko zaczęło się w XIV wieku od brutalnego starcia dwóch wielkich ego: ojca świętego Bonifacego VIII i króla Francji Filipa IV Pięknego. Filip potrzebował pieniędzy na wojny z Anglią, więc postanowił opodatkować kler, ale Bonifacy odpowiedział krótko: każda ludzka istota podlega papieżowi, a władca jest tylko sługą Kościoła. Co więcej, zamierzał rzucić na monarchę anatemę. Ten nie bawił się w teologiczne debaty – dosłownie w przeddzień obłożenia klątwą wysłał zbrojnych, by pojmali Bonifacego. >

„EUROPA CHRZEŚCIJAŃSKA STANĘŁA W OBLICZU DWÓCH PAPIEŻY UWAŻAJĄCYCH SIĘ ZA PRAWOWITYCH NASTĘPCÓW ŚW. PIOTRA”

prof. JAN WIERUSZ-KOWALSKI
znawca historii chrześcijaństwa



Ostatecznie uratowała go miejscowa ludność, jednak – jak pisał znawca historii chrześcijaństwa prof. Jan Wierusz-Kowalski – „zło się stało. Włochy, a następnie cała Europa były świadkiem załamania się mitu o nieograniczonej potędze papieskiej".

Niedługo potem Bonifacy zmarł, a jego sukcesor przeżył tylko rok (być może za sprawą trucizny podsuniętej mu przez królewskich agentów). W 1305 roku na tron Piotrowy wstąpił Klemens V – Francuz i dłużnik Filipa. Ponieważ w Rzymie, targanym wewnętrznymi walkami wielkich rodów, nie było bezpiecznie, ojciec święty osiadł w Awinionie, rozpoczynając niemal 70-letni okres słynnej niewoli.

FRANCUSKI KLUB

Była ona daleka od lochów i niedostatków. W mieście nad Rodanem zbudowano potężny pałac-twierdzę (na zdj. poniżej), a Klemens i jego następcy bogacili się dzięki niesamowicie wydajnemu systemowi podatkowemu oraz pobieraniu horrendalnych opłat od każdej sprawy wymagającej zaangażowania Kościoła. Większość kardynałów tego okresu, tak samo jak kolejni papieże, pochodziła z kraju nad Sekwaną: kuria stała się niemal francuskim klubem.

W tym czasie Rzym popadał w coraz większą ruinę, niszczony niekończącymi się waśniami i bezwzględną działalnością bandytów. Przerwać to szaleństwo postanowił papież Grzegorz XI, ale choć wrócił na Półwysep Apeniński, to w uzdrowieniu sytuacji przeszkodziła jego śmierć już w następnym roku.

Gdy w 1378 roku trwało konklawe, w Wiecznym Mieście wrzało. Zebrani wiedzieli, że ponowne powołanie na tron Piotrowy Francuza wzbudzi gniew ludu. Już powstawały barykady, a w rękach niejednego Rzymianina błyskał nóż. Ratunkiem z sytuacji wydawał się wybór arcybiskupa Bartolomeo Prignano – był co prawda Włochem, ale wiele lat spędził w Awinionie. Człowiek znikąd, sprawny administrator, wydawał się doskonałym materiałem na uległą marionetkę. Jednak jako Urban VI szybko pokazał swój temperament oraz reformatorskie zapędy. Przyzwyczajeni do luksusu kardynałowie przeżyli szok i... unieważnili konklawe, po czym ogłosili nowego papieża (a w zasadzie antypapieża) – dla bezpieczeństwa o francuskich korzeniach – który przyjął imię Klemens VII. „Europa chrześcijańska stanęła w obliczu dwóch papieży uważających się za prawowitych następców św. Piotra, domagających się posłuchu i oczywiście dalszego opłacania danin i świętopietrza" – podsumował tę bezprecedensową sytuację prof. Wierusz-Kowalski.

MAPA NIENAWIŚCI

Skutek był kuriozalny: Urban VI z Rzymu przeklął Klemensa VII, ten zaś uciekł do Awinionu i... wyklął Urbana. Nie był to przy tym spór o dogmaty ani stanowiska, lecz niebezpieczny podział całej Europy. Klemensa poza Francją poparły Szkocja i Hiszpania, Urban znalazł zaś sojuszników w Anglii, Polsce, Czechach, na Węgrzech i w Niemczech, choć niektórzy książęta Rzeszy bywali przekupni. Również Portugalia wielokrotnie zmieniała strony – w zależności od przebiegu wojny z Kastylią.

Tiara papieska przestała być symbolem boskiej władzy. Teraz była synonimem walki o panowanie i majątek. Legaci obu ojców świętych



ZŁOTA KLATKA
Pałac w Awinionie (na zdj.) nie był ani klasztorem, ani więzieniem, lecz najpotężniejszą i najdroższą twierdzą Europy. Papieże stworzyli tu centrum finansowe: opłaty za każdą nominację i odpust zasilały skarbiec, który pozwalał im żyć w luksusie. Ceną była polityczna zależność od Francji.

„NIEKOŃCZĄCE SIĘ SKANDALE, KTÓRYCH OBRZYDLIWA SCHIZMA BYŁA ŹRÓDŁEM, CI DWAJ RYWALE, POŻERANI OGNIEM AMBICJI, UCZYNILI Z KOŚCIOŁA LADACZNICĘ”

kronikarz z opactwa Saint-Denis we Francji

odwiedzali kolejne dwory, by zdobyć poparcie i pieniądze. W zamian za pomoc godzili się na zmniejszenie danin na rzecz Kościoła. Monarchowie natomiast zyskiwali możliwość obsadzania wysokich stanowisk kościelnych swoimi ludźmi – bo zawsze mogli zagrozić „przejściem do konkurencji”.

Gdy w 1392 roku papież rzymski podjął próbę przeciągnięcia na swoją stronę króla Francji, urzędnicy awiniońscy dołożyli wszelkich starań, aby wizyta wysłanników przebiegła w jak najgorszy sposób, a Urbana VI nazwali „natrętem i uzurpatorem”. Działało to zresztą w obie strony. Już wcześniej cesarz Karol IV i jego syn Wacław wraz z królem Ludwikiem Węgierskim wyprawili wspólnych posłów do ojca świętego w Awinionie z kategorycznym żądaniem zrzeczenia się tiary. Oczywiście bez skutku.

Z OBLUBIENICY CHRYSTUSA DO LADACZNICY

Papieże słono płacili za poparcie królów, dlatego musieli stale uzupełniać kurczące się fundusze. Sięgnęli więc do kieszeni wiernych. Odpusty stały się bardziej dostępne, bo trzeba było sprzedawać ich coraz więcej. Handel relikwiami zaczął zakrawać o absurd. Naoczny świadek wydarzeń, kronikarz z opactwa Saint-Denis we Francji, relacjonował: „Kościół, ta ciesząca się wolnością oblubienica Chrystusa, stał się teraz niewolnicą dwóch panów. (…) Niekończące się skandale, których obrzydliwa schizma była źródłem, ci dwaj rywale, pożerani ogniem ambicji, uczynili z Kościoła ladacznicę”.

Funkcja następcy św. Piotra zmieniła się w „pośmiewisko dla wszystkich ludów ziemi”. W sprawę zaangażowali się wreszcie... uczeni z Uniwersytetu Paryskiego. Próbowali nakłonić francuskiego króla, by zakończył rozłam, pozbawiając urzędu obu papieży. Argumentowali, że w przeciwnym razie spór będzie trwał wieki. Co więcej, stanie się bramą dla wszelkich herezji, bo przecież heretyk zawsze znajdzie łaskę – jak nie u jednego, to u drugiego ojca świętego.

TRÓJGŁOWA BESTIA

Patową sytuację miał rozwiązać sobór w Pizie zwołany przez dwa kolegia kardynalskie: rzymskie i awinioński. Był rok 1409 i część wiernych nawet nie pamiętała już jednego Kościoła. Coraz bardziej jasne dla wszystkich stawało się natomiast, że papieże nie są zainteresowani dobrem instytucji, którą mają kierować, lecz wyłącznie własnymi korzyściami. Toteż żaden z nich nie pofatygował się do Pizy. Stawiło się za to 24 kardynałów, liczni biskupi i uczeni oraz posłowie.

Po obradach postanowiono odebrać tiarę obu następcom św. Piotra i... wybrano trzeciego, Aleksandra V. Ponieważ ani papież rzymski, ani awinioński rzecz jasna nie zaakceptowali tej decyzji, sytuacja stała się jeszcze bardziej niedorzeczna. Zamiast jedności świat chrześcijański otrzymał trójgłową bestię – a do tego trzy kurie do utrzymania i trzy systemy podatkowe.

Pociągnęło to za sobą przetasowania na arenie międzynarodowej: Stary Kontynent podzielił się na trzy obozy. Barwy zmieniła m.in. Polska, która wsparła ten utworzony wokół papieża pizańskiego. Decyzja Polaków była poprzedzona długim namysłem. Inna rzecz, że już wcześniej wykładowcy Uniwersytetu Krakowskiego obu dotychczasowych ojców świętych nazwali schizmatykami i heretykami. Pewne znaczenie miał tu też fakt, iż Aleksander był naszej ojczyźnie przychylny i darzył sympatią Władysława Jagiełłę, z którym znał się od lat. >





PAPIEŻ WYJĘTY SPOD PRAWA
Zanim Jan XXIII (na il.) musiał uciekać w przebraniu, by chronić godność i życie, zasłynął z bezwzględności i rozpusty. Oskarżano go o morderstwa oraz sodomię, choć nie wszystkie zarzuty były prawdziwe. Nie ulega jednak wątpliwości, że papieską tiarę otrzymał były pirat.

SEKRETNE LISTY
Potępiać papieży nie bała się Katarzyna ze Sieny (pomnik obok), jedna z najbardziej fascynujących kobiet średniowiecza. Mimo młodego wieku w łączących mistyczne wizje i politykę listach do Grzegorza XI oraz Urbana VI przedstawiała żądania i instrukcje prawdziwych reform. Zmarła, mając 33 lata.

„GDYBYŚCIE WIDZIELI TEN SOBÓR, KTÓRY SIĘ NAZYWA NAJŚWIĘTSZYM I NIEZŁOMNYM, NABRALIBYŚCIE WSTRĘTU. TRZYDZIEŚCI LAT BĘDZIE TRZEBA, ABY OCZYŚCIĆ KONSTANCJĘ Z GRZECHÓW, KTÓRE SIĘ TU ZAGNIEŹDZIŁY”

JAN HUS, duchowny i reformator

PIRAT NA CZELE KOŚCIOŁA

Gdy w 1410 roku następcą Aleksandra został Jan XXIII, Europa zamarła. Miał co prawda poparcie większości krajów, ale daleko mu było do wikariusza Chrystusa. W młodości parał się piractwem i słynął z rządów silnej ręki. Wielu uważało, że przez jego wybór na głowę Kościoła (choćby tylko części pizańskiej) autorytet papieski sięgnął dna.

Świeccy władcy z politowaniem patrzyli na trzech żałosnych mężczyzn wzajemnie nazywających się antychrystami, podczas gdy Europa zaczynała trawić się od środka. W Anglii wciąż aktualne były idee nieżyjącego już Johna Wycliffe'a głoszące, że król może odebrać majątek grzesznym duchownym. Coraz większe obszary zalewała fala religijnego obłędu: obnażeni biczownicy katowali się, by przebłagać Boga za winy ojców świętych. Kiedy Jan XXIII zaczął sprzedawać odpusty w Czechach, aby sfinansować wojnę, na scenę wkroczył Jan Hus, który nawoływał do gruntownej reformy katolicyzmu. Ponieważ papieże nie byli w stanie zażegnać kryzysu, zgodzono się, że tylko sobór powszechny może rozwiązać problem.

GRZESZNY SOBÓR

Inicjatorem spotkania był król niemiecki Zygmunt Luksemburski, który z powodu schizmy nie mógł przyjąć korony cesarskiej. „Potrafił przy tym wpłynąć na papieża Jana XXIII, tak że ten, nie przewidując żadnych konsekwencji dla swego pontyfikatu, bullą z grudnia 1413 roku zwołał sobór powszechny do Konstancji na początek listopada 1414 roku” – wyjaśnia historyk dr Konrad Filip Komarnicki.

Średniowieczna Europa nie widziała większego zjazdu. Miasto



CENA ZBAWIENIA
Papiestwo było częścią profesjonalnej machiny finansowej, z której korzystali m.in. Medyceusze (powyżej: kadr z serialu obrazującego losy tej słynnej familii, z której pochodził sam Klemens VII). Kiedy Kościół ogłaszał „wielkie akcje odpustowe", duże banki, w tym należące do wspomnianej rodziny, gromadziły i transportowały gotówkę w całej Europie, pobierając prowizję za każdą transakcję.

nad Jeziorem Bodeńskim gościło trzech patriarchów, 29 arcybiskupów, ponad 100 biskupów, wielu opatów, kilkuset doktorów prawa i teologii. Według kronik tuż pod murami obronnymi swoje obozy rozbiło 100 tysięcy ludzi: kupców, rycerzy, żonglerów, muzykantów, a nawet prostytutek. Zanim został skazany na śmierć na stosie, Jan Hus zdążył opisać to, co się działo: „Gdybyście widzieli ten sobór, który się nazywa najświętszym i niezłomnym, nabralibyście wstrętu. Trzydzieści lat będzie trzeba, aby oczyścić Konstancję z grzechów, które się tu zagnieździły".

W JEDNOŚCI SIŁA?

Jan XXIII szybko zrozumiał, że Zygmunt zastawił na niego pułapkę. Nieoficjalnie dało się słyszeć plotki o mrocznej przeszłości ojca świętego, piractwie oraz popełnionych przez niego morderstwach. Wśród zabawy i zgiełku próbował wmieszać się w tłum, by uciec, ale został ujęty i osadzony w więzieniu. Papież z Rzymu zachował resztki godności – zgodził się na abdykację, zaś ten z Awinionu pośpieszył do Hiszpanii, gdzie do końca życia upierał się, że nadal jest głową Kościoła. Ale nikt go już nie słuchał.

Sobór ogłosił, że stoi ponad papieżem, ponieważ posiada władzę bezpośrednio od Chrystusa, i każdy jest mu winien posłuszeństwo w sprawach wiary. Nowego następcę św. Piotra ostatecznie wybrano w 1417 roku – został nim Włoch Oddone Colonna, który objął pontyfikat jako Marcin V. „Podczas procesji ulicami Konstancji po uroczystej koronacji 21 listopada król niemiecki Zygmunt Luksemburski oraz Henryk Brandenburski prowadzili wierzchowca papieża za uzdę na znak podporządkowania mu" – opisuje dr Komarnicki. Tym samym wielka schizma zachodnia dobiegła końca. Przynajmniej oficjalnie.

Jednak choć znowu jeden człowiek zawładnął wszystkimi duszami i wydawało się, że Kościół zażegnał kryzys, świat nie był już taki sam. Europa dowiedziała się, iż papieże to tylko ludzie – mali, chciwi, poddający się manipulacji królów. W Konstancji Jan Hus spłonął na stosie, ale swoim życiem i śmiercią zasiał ziarno. Sto lat później Marcin Luter zmienił oblicze wiary. Nie zdołały tego zatrzymać już żadne płomienie.

dr KLAUDIA KOŚCIELSKA

KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski
ZDJĘCIA: Adobe Stock; Prisma Archivo/Alamy/BEW; EPA/Ettore Ferrari/PAP; mat. redakcyjne/AI (3); Wikimedia Commons (3); mat. prasowe

ZARZEWIE ŚWIĘTEGO OGNIA
Czeski reformator Jan Hus (poniżej: na obrazie pędzla Karla Friedricha Lessinga z 1842 roku; obok – jego wizerunek na monecie) przybył na sobór w Konstancji z listem żelaznym od króla Zygmunta, ale obietnica bezpieczeństwa okazała się pułapką. Oskarżono go o szerzenie heretyckich nauk Johna Wycliffe'a, jednak odmówił odwołania swoich poglądów i w 1415 roku został spalony na stosie. Jego śmierć nie przyniosła Kościołowi spokoju, przeciwnie, stała się początkiem wieloletnich wojen husyckich.







eprasa.pl d83e96798c

SERCE DZIKIEGO ZACHODU

Położona na granicy Utah i Arizony Monument Valley do dziś postrzegana jest jako symbol Dzikiego Zachodu. Nie tylko dlatego, że zamieszkują tam Nawahowie (najliczniejsze plemię w USA), ale i dzięki słynnym westernom Johna Forda.

Z

KI



eprasa.pl d83e96798c

GDZIE NIKNĘŁO

LKANAŚCIE MILIONÓW

NDIAN?

Misja „krzewienia cywilizacji", jakiej Europejczycy podjęli się w Ameryce Północnej, zapisała się na kartach dziejów wyjątkowo krwawo. Gwałty, epidemie, egzekucje... Ofiary wśród Indian liczy się w milionach.

Zróbcie z nimi porządek! – wycedził przez zęby pułkownik John Chivington, dowódca oddziału milicji z Kolorado, dając tym samym rozkaz do ataku. Był wczesny poranek 29 listopada 1864 roku. Niemal w tym samym momencie blisko 700 żołnierzy, których miał pod bronią, otworzyło ogień do kompletnie zaskoczonych Indian. Dwustuosobowa grupa Czejenów i Arapahów, głównie dzieci, kobiet i starców, nie miała żadnych szans. W obozowisku nad strumieniem Sand Creek znajdowali się jedynie ci, którzy nie byli zdolni polować na bizony.

Gdy żołnierze wystrzelali cały zapas amunicji, sięgnęli po szable i dobili rannych. Świadkowie tamtych dramatycznych wydarzeń opowiadali później straszliwe historie. Wiele zwłok oskalpowano; mundurowi obcinali też martwym ofiarom palce, nosy, uszy, a nawet jądra. Makabryczne trofea zabrali ze sobą. Grozy sytuacji dopełniał widok dziesiątek dzieci z roztrzaskanymi czaszkami. Kilku kobietom w ciąży wycięto z brzuchów płody. Jeden z ocalałych wspominał, że biali urządzili sobie także zawody w strzelaniu do celu, którym był... trzyletni nagi chłopiec.

Masakra nad Sand Creek uznawana jest za jeden z najbardziej okrutnych aktów barbarzyństwa, jakich dopuścili się amerykańscy żołnierze. Z premedytacją zaatakowali bezbronnych i z zimną krwią zabili ponad 160 osób. A to i tak ledwie promil całkowitej liczby Indian, którzy zginęli w wyniku naporu „cywilizacji". Według najnowszych szacunków mogło ich być nawet kilkanaście milionów! >

eprasa.pl d83e96798c



WOJNA I POKÓJ

Choć Indianie prowadzili między sobą brutalne walki o panowanie nad poszczególnymi terytoriami, potrafili się zjednoczyć, by odeprzeć atak białych kolonizatorów. W czasie tzw. Wojny Małego Żółwia sojusz zawarło kilkanaście plemion.

ZDERZENIE CYWILIZACJI

Do spotkania Indian i Europejczyków doszło w 1492 roku wraz z odkryciem Nowego Świata przez Krzysztofa Kolumba. Kolejne ekspedycje zasiedlały coraz to nowe tereny obu Ameryk. Autochtonów uważano za półnagich dzikusów, których należy ucywilizować. Było to bowiem coś więcej niż zetknięcie się dwóch ludów. Nastąpiło starcie odmiennych systemów myślenia i kultur, z których jedna rościła sobie prawo do decydowania o losie drugiej. Na ironię zakrawa fakt, że USA, imperium chlubiące się umiłowaniem wolności i demokracji, wyrosły na gruzach autorytarnych praw, a nawet – zdaniem niektórych – ludobójstwa.

Kiedy w 1607 roku Anglosasi zaczęli kolonizować tereny dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, nie okazali się wcale mniej brutalni niż ich hiszpańscy poprzednicy w krajach Ameryki Łacińskiej. Kolejne pokolenia „pielgrzymów", już Amerykanów, za wszelką cenę dążyły do podporządkowania sobie tubylców. Nierzadko w drastyczny sposób. Hasło: „Dobry Indianin to martwy Indianin", przypisywane Philipowi Sheridanowi, generałowi armii USA, cieszyło się popularnością niemal do końca XIX wieku. Podobnie jak: „Zabij Indianina, uratuj człowieka", nazywane przez niektórych dewizą kulturowego terroryzmu kolonizatorów.

Myśląc o Indianach zamieszkujących w przeszłości tereny tzw. Dzikiego Zachodu, często popełniamy błąd, traktując ich jako jednolitą grupę. Na tym obszarze żyło wtedy jednak wiele plemion, które nie tylko różniły się pod względem kulturowym i językowym, ale również toczyły ze sobą wojny. Anglosasi dopiero z czasem zaczęli je rozpoznawać, zapamiętując, że spotkanie z Apaczami i Irokezami niemal zawsze skończy się walką, natomiast wodzowie Siuksów czy Czejenów są bardziej skorzy do zawierania sojuszy.

ILE WARTE BYŁO ŻYCIE INDIANINA?

Z biegiem lat i ekspansją kolonialną na zachód wzrastała brutalność konfliktu. Nie wszyscy tubylcy chcieli się asymilować i często walczyli w obronie swoich ziem. Przemoc rodziła przemoc. W 1756 roku władze kolonii Pensylwania wydały uchwałę, która przyznawała 130 dolarów każdemu, kto dostarczy skalp Indianina; skórę zdartą z czaszki Indianki wyceniono na 50 dolarów.

Biali kolonizatorzy zaczęli też tworzyć rezerwaty, do których spychali Indian, zabraniając ich opuszczania. Większość takich „obszarów zamkniętych" powstała w drugiej połowie XIX wieku na podstawie dyskryminujących ustaw. Władze stanowe interpretowały je wyjątkowo rygorystycznie. Przykładowo Dakota Północna ogłosiła, że do końca stycznia 1876 roku wszyscy Indianie mają znaleźć się w rezerwatach, w przeciwnym razie zostaną zabici.

Atmosferę wzajemnej wrogości jeszcze zaogniła gorączka złota, którą w latach 60. i 70. XIX wieku przeżywała Ameryka. Wojsko zapewniające poszukiwaczom ochronę toczyło wówczas regularne walki z Indianami, którym z dnia na dzień odmówiono wstępu do ich własnych wiosek. Niedługo później, na mocy tzw. ustawy o powszechnym podziale ziemi z 1887 roku, okrojono przyznane Indianom tereny.

SZLAK ŁEZ

W historii relacji amerykańsko-indiańskich jest wiele niechlubnych rozdziałów, które splamiły honor „cywilizowanych" białych. Wystarczy wspomnieć śmierć 4 tysięcy Czirokezów w czasie przymusowych przesiedleń plemion południowych do Oklahomy w latach 30. XIX wieku (zob. mapę obok). Do przebycia setek kilometrów, i to zimą, zmuszono blisko 15 tysięcy Indian. Wędrówki nie przeżył niemal co czwarty z nich. Wielu zmarło w drodze z wycieńczenia, ci zaś, którzy próbowali uciec, byli ścigani przez żołnierzy eskorty. Schwytanych czekał stryczek. Z powodu tych dramatycznych wydarzeń trasę, którą przemierzyli rdzenni mieszkańcy, nazwano Szlakiem Łez.

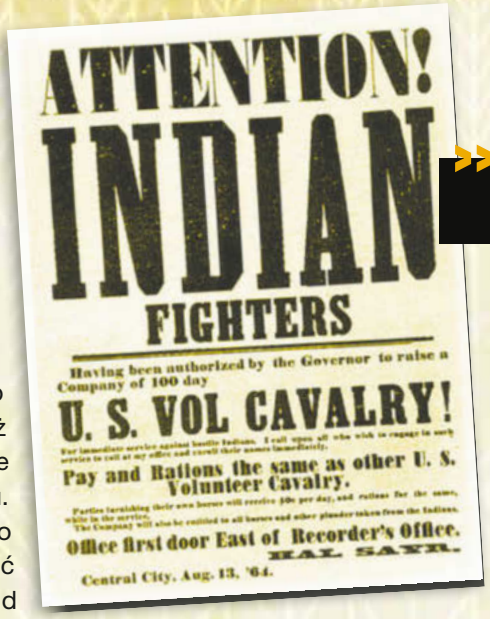
Wspomniana masakra nad Sand Creek nie była jedyną rzezią Indian, która zbulwersowała amerykańską opinię

eprasa.pl d83e96798c

publiczną. Wódz Czejenów, Czarny Kocioł, który jako jeden z nielicznych przeżył atak z 1864 roku, zginął cztery lata później w podobnej zasadzce zorganizowanej przez podpułkownika George'a Custera nad rzeką Washita w Oklahomie. Tym razem „dzikich" zaatakowano w nocy. Dlaczego? Ponieważ ośmielili się opuścić wyznaczone im przez władze miejsce pobytu. Wyruszyli na polowanie, bo do rezerwatu przestały przychodzić zapowiedziane przez rząd dostawy żywności.

Samowola Indian nie spodobała się dowódcom amerykańskiej armii, którzy wykorzystali nadarzającą się okazję: wysłali żołnierzy z 7 Pułku Kawalerii USA, by wymordowali pokojowo nastawionych Czejenów. Kompletnie zaskoczeni Indianie, którzy półnadzy wybiegali ze swoich tipi, ginęli od salw z karabinów albo pod końskimi kopytami. Wedle raportu dowódcy w ataku zginęło 103 czejeńskich wojowników, a ponad 50 kobiet i dzieci dostało się do niewoli.

Sprawcy takich rzezi zazwyczaj pozostawali bezkarni. Choć domagano się osądzenia zbrodni dokonanych przez pułkownika Chivingtona i podpułkownika Custera, żaden z nich nie stanął przed obliczem sprawiedliwości.



KRWAWA GORĄCZKA ZŁOTA

Takimi oto plakatami rekrutowano ochotników do walki z Indianami mieszkającymi na terenach złotonośnych w Kolorado. To tego typu jednostka dokonała masakry bezbronnych tubylców nad Sand Creek.

Z kolei kawalerzyści dowodzeni przez Jamesa Forsytha zapisali się w historii jako uczestnicy innej masakry, uznawanej za ostatnią dokonaną przez białych na Indianach. Dwudziestego dziewiątego grudnia 1890 roku oddział Amerykanów ostrzelał z artylerii i działek maszynowych Gatlinga obozowisko Siuksów, którzy stacjonowali nad strumieniem Wounded Knee. Według szacunków zginęło ponad 300 osób. Dopiero kiedy ustała trzydniowa burza śnieżna, wrócono na pobojowisko, by w masowym grobie pogrzebać poległych (co ciekawe, odnaleziono wówczas jeszcze siedmioro żywych).

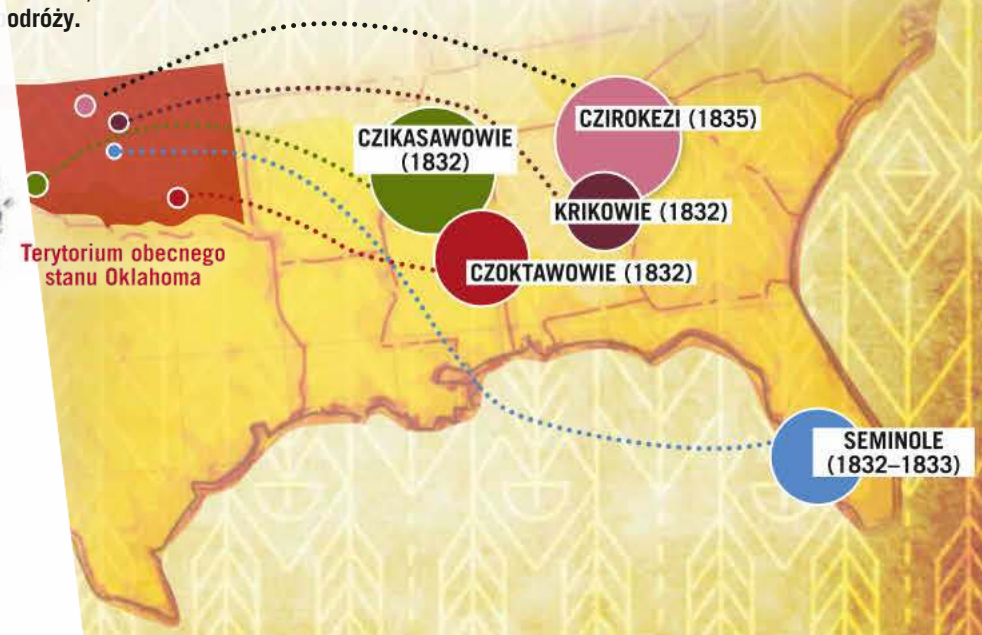
WOJNA O SKALPY

Oczywiście nie tylko biali dopuszczali się okrucieństw. Słynne stało się skalpowanie, makabryczny zwyczaj praktykowany przez część indiańskich plemion. Polegało ono na odcięciu fragmentu skóry z głowy wraz z włosami. Upraszczając: im więcej takich trofeów, tym potężniejszy stawał się wojownik w oczach pobratymców. Najbardziej brutalni byli w tym względzie Apacze, Komancze i Irokezi. >

ZIEMIA DLA BIAŁYCH

W 1830 roku prezydent Andrew Jackson podpisał specjalną ustawę Indian Removal Act, która nakazywała przesiedlenie na tereny dzisiejszej Oklahomy blisko 100 tysięcy Indian z pięciu plemion. Cała akcja zajęła 12 lat i skończyła się śmiercią wielu autochtonów, którzy nie przetrwali ekstremalnej podróży.





eprasa.pl d83e96798c





OSTATNIA „BITWA”

Masakra nad Wounded Knee, której dokonano 29 grudnia 1890 roku, do dziś stanowi niezagojoną ranę w relacjach indiańsko-amerykańskich. Żołnierze U.S. Army nie tylko dopuścili się okrutnej rzezi, ale i pozostawili rannych na pewną śmierć (na zdj. obok).

Z czasem, w akcie zemsty, biali zaczęli skalpować Indian. Opinia publiczna była przerażona doniesieniami, że „czerwonoskórzy” znęcają się nad jeńcami. Szczególny strach wywoływało skalpowanie żywcem. Szerokim echem odbił się los 23 Teksańczyków prowadzących stado koni do Kalifornii – 2 kwietnia 1855 roku zaatakowali ich Komancze. Zanim tubylcy zabili pojmanych, poddali ich torturom, w tym zdzieraniu skóry z czaszek. Wiemy o tym, bo jednego z więźniów wypuszczono, by przekazał wiadomość, że skalp straci każdy, kto ośmieli się wejść na indiańskie ziemie.

William M. Osborn, autor książki opisującej konflikt rdzennych Amerykanów z osadnikami, idzie jeszcze dalej i przekonuje, że to Indianie mieli na sumieniu więcej ofiar niż biali. W swojej pracy podał, iż w latach 1622–1890 koloniści „w aktach okrucieństwa” zabili 7193 osoby, a z rąk Indian zginęło w tym okresie aż 9156 ludzi. Choć dane przytaczane przez Osborna nie są szczególnie wiarygodne, warto o nich wspomnieć, by pokazać poziom dysproporcji, na jakim toczy się dyskusja. Podczas gdy jedni mówią o tysiącach ofiar, inni liczą je w milionach.

LUDOBÓJSTWO CZY KOLONIZACJA?

Największe kontrowersje dotyczą skali zbrodni. Po obu stronach sporu padają szacunki i argumenty, które trudno zweryfikować. Przytoczmy więc kilka faktów.

Zacznijmy od tego, ile osób zamieszkiwało ziemie Ameryki Północnej, zanim Europejczycy zaczęli wprowadzać tam swoją politykę kolonizacyjną. Amerykanie przez lata szacowali, że liczba Indian nie przekraczała miliona. Tymczasem w świetle nowych znalezisk archeologicznych można mniemać, że dane te są znacznie zaniżone, w rzeczywistości tubylców było bowiem 15–20 milionów. Do końca XIX wieku 95% tej populacji zniknęło z powierzchni ziemi.

Co się z nimi stało? Czy można tu mówić o ludobójstwie lub wręcz holokauście, bo takie hasła często padają w debacie publicznej? Ludobójstwo jest terminem oznaczającym celową i zaplanowaną eksterminację narodu lub rasy. Wyniszczenie Indian – pomimo całego swego okrucieństwa – takie nie było. Dlatego mordu na rdzennej ludności Ameryki nigdy oficjalnie nie uznano za zbrodnię tego rodzaju.

Wielu historyków podkreśla, że główną przyczyną dużej śmiertelności Indian nie było bestialstwo kolonizatorów, lecz... europejskie zarazki, z którymi tubylcy nigdy wcześniej się nie stykali i przeciw którym nie mieli ani nabytej, ani dziedzicznej odporności. O tytuł największego zabójcy konkurowały ospa, odra, grypa oraz tyfus. Tuż za nimi znajdowały się: dyfteryt, malaria, świnka, koklusz, dżuma, gruźlica i żółta febra. Co ciekawe, większość chorób typowych dla Nowego Świata nie wywoływała epidemii wśród białych.

Amerykański wyrzut sumienia do dziś daje o sobie znać. Faktem jest, że w całych Stanach Zjednoczonych nadal funkcjonuje ponad 300 rezerwatów, zajmujących łącznie przeszło 225 000 km² (2,3% powierzchni kraju). Są to ziemie stanowiące własność Indian i zarządzane przez autonomiczne władze (tzw. rady plemienne). Wiele z nich, jako formę walki z ogromnym bezrobociem, otrzymało specjalne prawa, które umożliwiają legalne prowadzenie kasyn nastawionych na turystów. Najczęściej to właśnie zyski z hazardu są głównym źródłem dochodów rezerwatów. Złośliwi twierdzą, że tym sposobem historia zatoczyła koło: Indianie nadal łupią białych, tyle że tomahawki zamienili na ruletkę.

Obecnie podczas przedstawień szkolnych z okazji Święta Dziękczynienia mali „pielgrzymi” i „Indianie” zasiadają do wspólnego stołu i razem celebrują życie w „cywilizowanym” świecie. Pamięć o krwawych początkach kolonizacji USA stopniowo blednie. Wypierają ją nowe doniesienia o Indianach. Paradoksalnie, także dziś rdzenni Amerykanie uznawani bywają za nieprzystosowanych i wymagających odpowiedniego pokierowania. Jednak tym razem nie z powodu kolorowych strojów, piór we włosach, nieznanego języka i niezrozumiałych zwyczajów, lecz... alkoholizmu, narkomanii i zorganizowanej przestępczości, które są prawdziwą plagą w rezerwatach współczesnych Indian.

KAMIL NADOLSKI

KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski
ZDJĘCIA: Frédéric Durież/mediadrumworld/East News; Artie Ng/Gallo Images; Picsel arch. (7); Wikimedia Commons (3)

eprasa.pl d83e96798c

NETFLIX HBO MAX PRIME VIDEO APPLE TV DISNEY+ SKYSHOWTIME



PONAD 160 SERIALI I FILMÓW

OBEJRZELIŚMY, OCENILIŚMY, REKOMENDUJEMY NAJLEPSZE



NETFILM
E-WYDANIA W CZYTELNIA.PL

NETFILM

JEDYNY TAKI MAGAZYN!

SZUKAJ W PUNKTACH SPRZEDAŻY PRASY
PRENUMERATA I WYDANIE CYFROWE DOSTĘPNE NA **czytelnia.pl**

www.netfilm.pl

eprasa.pl d83e96798c

872 DNI AP



KRYZYS HUMANITARNY
Oblężenie Leningradu uchodzi za jedną z największych katastrof, jakich kiedykolwiek doświadczyło miasto.

eprasa.pl d83e96798c

APOKALIPSY

W Leningradzie zderzyły się dwa zbrodnicze totalitaryzmy: nazizm i komunizm. Hitlerowcy nie chcieli zdobyć miasta – pragnęli je unicestwić. W jego skazanych na głodową śmierć mieszkańcach obudziły się najmroczniejsze instynkty...



Gdy 22 czerwca 1941 roku niemieckie wojska pancerne ruszyły na radziecką granicę, rozpoczynając inwazję na ZSRR, los Leningradu wydawał się przesądzony. Dzisiejszy Sankt Petersburg stał się jednym z głównych celów Wehrmachtu – nie tylko ze względów operacyjnych, ale przede wszystkim propagandowych. Drugie co do wielkości miasto imperium stanowiło potężne centrum przemysłowe, ustępując potencjałem jedynie Moskwie. Zlokalizowana tam była również baza Floty Bałtyckiej. >

epresa.pl/d83e967998

ZABIĆ MIASTO LENINA

Jednak w optyce nazistowskich ideologów metropolia była przede wszystkim „antysymbolem". To tutaj bolszewicy sięgnęli po władzę, to tutaj narodził się system sowiecki. Plan Hitlera był bezwzględny: zrównanie Leningradu z ziemią miało stanowić dowód ostatecznego triumfu nad komunizmem. Nie chodziło tylko o po-

> „Zetrę Petersburg z powierzchni ziemi"
>
> ADOLF **HITLER,**
> KANCLERZ III RZESZY



WRÓG U BRAM
Żołnierze Armii „Północ" na przedmieściach Leningradu. Wehrmacht postanowił zagłodzić miasto, zamiast przeprowadzić bezpośredni szturm.

konanie armii wroga, ale o wymazanie jego tożsamości historycznej.

Wojska niemieckie rozpoczęły oblężenie 8 września 1941 roku. W mieście i jego okolicach znajdowało się blisko 2,5 miliona cywilów. Nikt nawet nie przypuszczał, że kolejne 872 dni zapiszą się jako jeden z najbardziej brutalnych epizodów II wojny światowej, a większe zagrożenie niż spadające bomby będą stanowiły głód i pierwotne instynkty wycieńczonych mieszkańców.

SKAZANI NA GŁÓD

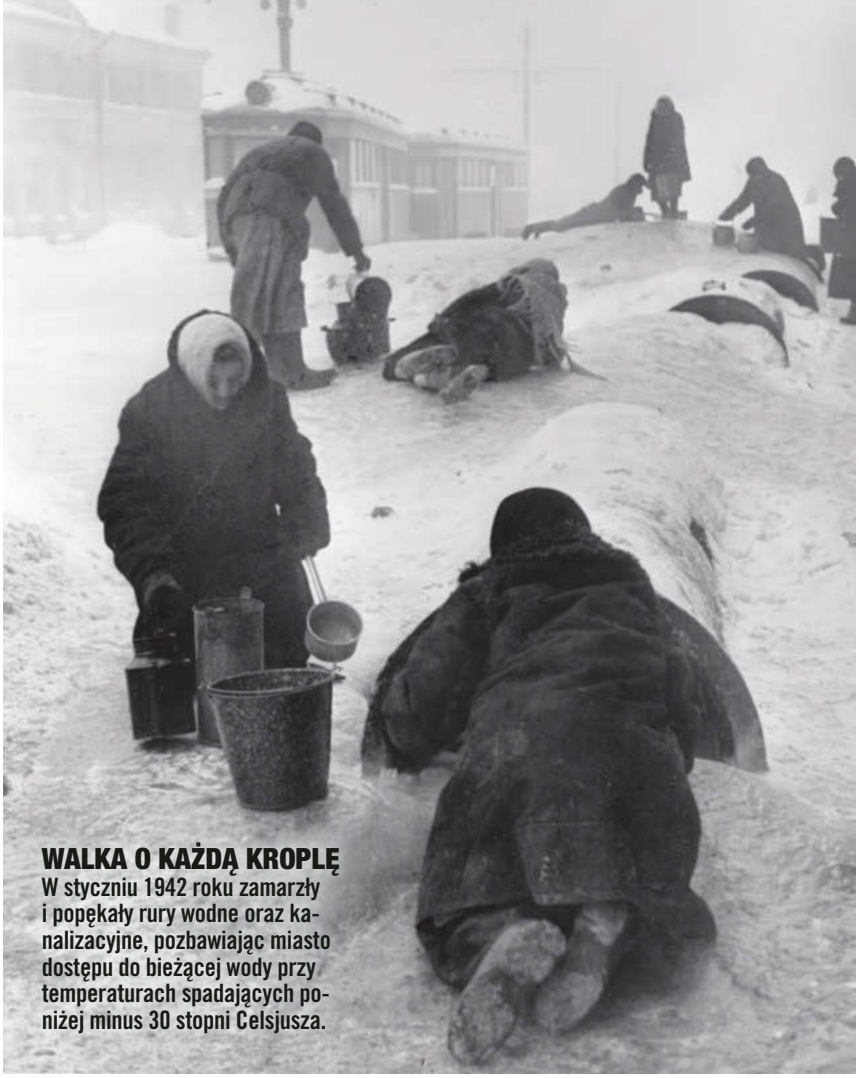
Zaciskanie kleszczy blokady następowało stopniowo. W październiku 1941 roku Niemcy zniszczyli ostatnie linie kolejowe i szosy prowadzące do metropolii. Równocześnie od północy na Leningrad nacierały oddziały fińskie, pragnące odzyskać ziemie utracone w wojnie zimowej 1939–1940. Finowie nie zaatakowali miasta od strony Karelskiego Rejonu Umocnionego, ograniczając się jedynie do obrony odbitych terenów, ale sam ich udział zrobił na Rosjanach wrażenie. W listopadzie dawny Sankt Petersburg był już całkowicie odcięty od zewnętrznych dostaw.

Niemieckie dowództwo stanęło przed dylematem: szturm na wielkie, broniące się miasto oznaczałby długie walki uliczne i duże straty, a zajęcie Leningradu przerzucałoby na okupanta obowiązek utrzymania przy życiu milionów cywilów. Zamiast tego postawiono na szczelne okrążenie, stały ostrzał artyleryjski i bombardowania, tak by metropolia słabła biologicznie. Grupa Armii „Północ" feldmarszałka Wilhelma von Leeba otrzymała zadanie zamknięcia jej w pierścieniu i zagłodzenia mieszkańców.

Hitler zapowiedział, że „zetrze Petersburg z powierzchni ziemi". Nie były to czcze groźby. Jak podaje Alexis Peri w książce *Leningrad. Dzienniki z oblężonego miasta*, w okresie od września 1941 do stycznia 1944 roku Luftwaffe przeprowadziła 612 ataków powietrznych, zrzucając na mieszkańców 102 500 bomb zapalających i 4638 burzących. W tym samym czasie wojska lądowe wystrzeliły 148 478 pocisków artyleryjskich. Cele były precyzyjnie dobrane. Już pierwszego dnia oblężenia płomienie strawiły magazyny żywnościowe Badajewa – główne zapasy metropolii.

eprasa.pl:d33e86795c





WALKA O KAŻDĄ KROPLĘ
W styczniu 1942 roku zamarzły i popękały rury wodne oraz kanalizacyjne, pozbawiając miasto dostępu do bieżącej wody przy temperaturach spadających poniżej minus 30 stopni Celsjusza.

STAŁY RYTM ŚMIERCI

Życie w oblężonym Leningradzie toczyło się na tle nieustających braków jedzenia, ciepła, prądu i informacji – tej pewnej, sprawdzonej, która pozwala zaplanować choćby najbliższe godziny. Dlatego tak ważna stała się sieć głośników ulicznych. W początkowych miesiącach blokady ustawiono ich 1500. To przez nie nadawano ostrzeżenia przeciwlotnicze.

Najgorsza była pierwsza zima. W styczniu 1942 roku zamarzły i popękały rury wodne i kanalizacyjne, powodując pragnienie oraz epidemie. Brakowało prądu i jedzenia. Wyłączono z ruchu trolejbusy i tramwaje. Wycieńczeni mieszkańcy spędzali godziny w kolejkach po żywność, stojąc na siarczystym mrozie. Temperatury spadały poniżej minus 30–40 stopni Celsjusza, a miasto pogrążyło się w mroku.

Odkąd przecięto linie zaopatrzenia, metropolia zaczęła żyć według logiki kartek i gramów. Racje żywnościowe zmniejszano kilkukrotnie, aż osiągnęły minimum między 20 listopada a 25 grudnia 1941 roku. Wówczas było to 500 gramów pieczywa dziennie dla żołnierzy na linii frontu, 250 dla robotników przemysłowych oraz zaledwie 125 dla pozostałych. Jak wspominali Leningradczycy, to, co rozdawano, niewiele miało wspólnego z chlebem: była to na ogół mieszanka trocin, mączki z łupin orzechów i innych substancji zastępczych. Miesięcznie każdy dostawał ponadto 300 gramów kaszy i 100 gramów masła. Stanowiło to ułamek kalorii potrzebnych do przetrwania w mroźnym klimacie.

W tamtym okresie codziennie umierało nawet 4000 osób. Nie nadążano z grzebaniem zmarłych i zabitych. To nie była pojedyncza katastrofa, lecz stały rytm śmierci.

OBLICZA KANIBALIZMU

Karta żywnościowa stanowiła w oblężonym mieście dokument ważniejszy niż pieniądz, bo decydowała o „prawie do racji", dlatego kradzieże były na porządku dziennym. Ludzie walczyli z głodem, jak umieli. Na początku blokady wyłapano i zjedzono zwierzęta z zoo. Potem przyszła kolej na te domowe. Zdrapywano nawet klej do tapet zrobiony z ziemniaków. Gotowano trawę i chwasty, a naukowcy pracowali nad ekstrahowaniem witamin z igieł sosnowych.

Głód doprowadzał do przekraczania ostatecznej granicy. Kanibalizm nie był normą, ale ekstremalnym objawem rozpadu porządku społecznego. >

eprasa.pl/d83e867958

Władze były na tyle zaniepokojone eskalacją tego zjawiska, że utworzono specjalne oddziały złożone z milicjantów i psychiatrów, aby mu przeciwdziałać. Anna Reid w książce *Leningrad. Tragedia oblężonego miasta 1941–1944* podaje, że w czasie blokady aresztowano ponad 1500 osób pod zarzutem kanibalizmu. Inne źródła mówią o blisko 2000.

Treść dokumentów opublikowanych przez historyków prof. Richarda Bidlacka i prof. Nikitę Łomagina w 2004 roku sugeruje, że włodarze miasta dostrzegali związek między posuwaniem się do spożywania ludzkiego mięsa a posiadaniem rodziny. „W tajnym memorandum dla zastępcy sekretarza rejonowego komitetu partyjnego Aleksieja Kuzniecowa leningradzki prokurator wojskowy objaśniał, że podłożem przypadków kanibalizmu nierzadko bywa chęć ratowania życia dzieci. Zapewne tłumaczy to, dlaczego dwie trzecie osób sądzonych za ten proceder było kobietami" – pisze Reid w swojej książce.

Pamiętnikarze odnotowywali historie o rodzicach zjadających własne dzieci, ale i karmiących swoje potomstwo mięsem zmarłych krewnych. Język rosyjski odróżnia trupożerstwo (trupojedstwo, czyli spożywanie ludzkich zwłok) od ludożerstwa (ludojedstwo; zabijanie połączone z kanibalizmem). W oblężonym Leningradzie zdarzało się zarówno jedno, jak i drugie...

29 MIESIĘCY PIEKŁA

Uwolnienie metropolii z niemieckich kleszczy nie nastąpiło szybko ani nie miało formy jednego uderzenia. Było serią kroków: najpierw rozszczelnienie pierścienia, dopiero potem jego faktyczne rozerwanie. Pierwszy przełom przyszedł zimą 1943 roku. Armia Czerwona natarła na wąski odcinek niemieckich pozycji na południowym brzegu jeziora Ładoga w ramach operacji „Iskra". Jej sens był „logistyczny" – nie chodziło o spektakularne wyzwolenie miasta, lecz o otwarcie lądowego połączenia z zapleczem. Osiemnastego stycznia 1943 roku ogłoszono przerwanie blokady w tym miejscu. Powstał korytarz, który pozwalał dostarczać zaopatrzenie, przede wszystkim żywność.

Na pełne odblokowanie mieszkańcom przyszło czekać jeszcze rok. W styczniu 1944 roku ruszyła ofensywa, znana jako operacja leningradzko-nowogrodzka, która odepchnęła Wehrmacht od przedmieść i definitywnie położyła kres niemieckiemu oblężeniu. Trwało ono łącznie 872 dni.

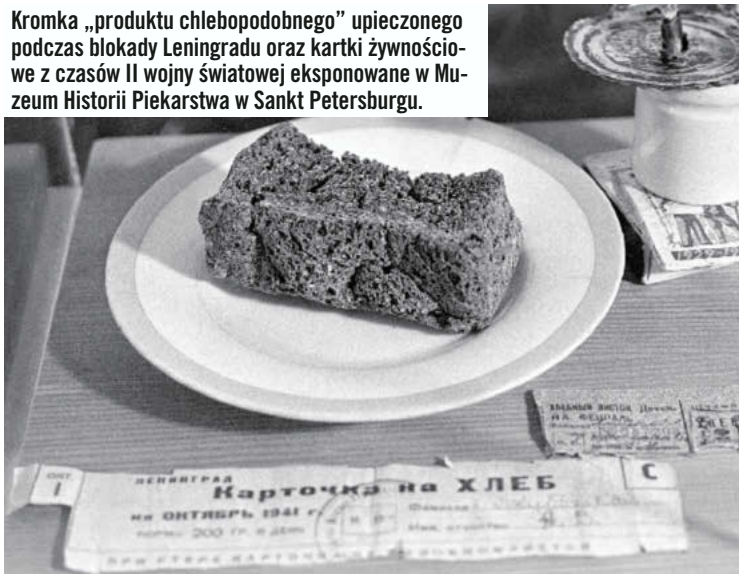
SKARB CENNIEJSZY NIŻ ZŁOTO

W samym sercu oblężonego Leningradu, w budynku przy ulicy Hercena 44, rozgrywał się jeden z najbardziej tragicznych i zarazem bohaterskich epizodów wojny. Gdy niemiecka armia zamknęła wokół miasta pierścień śmierci, a jego mieszkańcy codziennie umierali z głodu tysiącami, grupa botaników pilnowała skarbu, który mógł uratować im życie – pierwszego w dziejach banku nasion. Założony w 1921 roku przez Nikołaja Wawiłowa (na zdj. obok) instytut roślin przechowywał ponad ćwierć miliona próbek nasion, orzechów i ziemniaków zebranych z najodleglejszych zakątków planety. To była kolekcja, która miała wyeliminować głód na świecie. Podczas blokady Leningradu botanicy znaleźli się w centrum moralnego dylematu bez precedensu. Strzegli ton nasion, które mogły ich uratować. „Powstrzymanie się od jedzenia kolekcji nie było trudne (...). Nie można jeść pracy swojego życia, pracy życia kolegów" – tłumaczył później Wadim Lechnowicz, odpowiedzialny za zasoby ziemniaków. Wielu uczonych zmarło z głodu, a ich ciała znaleziono tuż obok worków z nasionami. O heroicznej postawie radzieckich botaników opowiada najnowsza książka Simona Parkina *Zakazany ogród Stalina. Jak naukowcy (nie) uratowali mieszkańców Leningradu*, która na początku 2026 roku ukazała się na polskim rynku.





WARTO PRZECZYTAĆ
Simon Parkin, *Zakazany ogród Stalina. Jak naukowcy (nie) uratowali mieszkańców Leningradu*, 384 strony, 79,99 zł.



Kromka „produktu chlebopodobnego" upieczonego podczas blokady Leningradu oraz kartki żywnościowe z czasów II wojny światowej eksponowane w Muzeum Historii Piekarstwa w Sankt Petersburgu.



Ofiara „choroby leningradzkiej", czyli dystrofii pokarmowej spowodowanej skrajnym niedożywieniem.

eprasa pl d53e96798c





W STALOWYM PIERŚCIENIU
Ósmego września 1941 roku Grupa Armii „Północ" i wojska fińskie zamknęły pierścień wokół Leningradu, odcinając wszystkie lądowe drogi zaopatrzenia. Od zachodu i południa nacierał Wehrmacht, od północy – Finowie, którzy jednak nie podjęli bezpośrednich ataków na miasto. Jedynym połączeniem z resztą kraju pozostało jezioro Ładoga. Przez nie wiodła słynna „droga życia", po której zimą transportowano zaopatrzenie po lodzie, a latem na łodziach.





Bilans ofiar jest przerażający. Według Anny Reid, która dotarła do odtajnionych danych rosyjskich, z głodu zmarło w mieście ponad 750 tys. osób. Alexis Peri podaje, że zginęło około 800 tys. cywilów, czyli 40% przedwojennej ludności Leningradu. Profesorowie Bidlack oraz Łomagin, autorzy dokumentalnej historii oblężenia opartej na sowieckich archiwach, szacują, że ofiar cywilnych mogło być nawet milion. Dokładnej liczby nigdy nie poznamy.

ZAKAZANE WSPOMNIENIA

Dramat mieszkańców nie zakończył się wraz ze zniesieniem blokady. W 1945 roku Stalin przyznał Leningradowi tytuł miasta-bohatera Związku Radzieckiego. Było to najwyższe odznaczenie zarezerwowane dla jednostek miejskich. Mit heroicznej obrony miał przyćmić prawdę o cierpieniu. Była ona bowiem dla komunistycznych władz niewygodna.

W czasie wojny i później na terenie ZSRR obowiązywała restrykcyjna cenzura. W przypadku Leningradu propaganda mówiła o „trudnościach w zaopatrzeniu", nigdy o głodzie, zaś rozgłaszanie informacji o kanibalizmie było równoznaczne ze zdradą stanu. Ludzie, którzy w trakcie oblężenia spisywali swoje wspomnienia (zresztą za namową lokalnych władz), po jego zakończeniu zaczynali stawać się posiadaczami niewygodnych dowodów, niezgadzających się z linią partyjnej propagandy. Wiele dzienników, niebezpiecznych dla ich autorów, zostało ukrytych w domach, zakopanych w archiwach i zapomnianych. Urzędnicy Kremla „poprawiali" publikacje opisujące dramat ludności i aresztowali niektórych przywódców wojennych Leningradu. Część z nich została stracona w konsekwencji partyjnych intryg. Bardziej otwarcie o dramacie oblężenia zaczęto mówić w latach 60., tym razem jednak idealizując postawy mieszkańców, podkreślając ich heroizm, ale milcząc o mrocznych chwilach załamania. Prawda wyszła na jaw dopiero po upadku komunizmu.

KAMIL NADOLSKI

„Podłożem przypadków kanibalizmu nierzadko bywa chęć ratowania życia dzieci"

RADZIECKI PROKURATOR WOJSKOWY

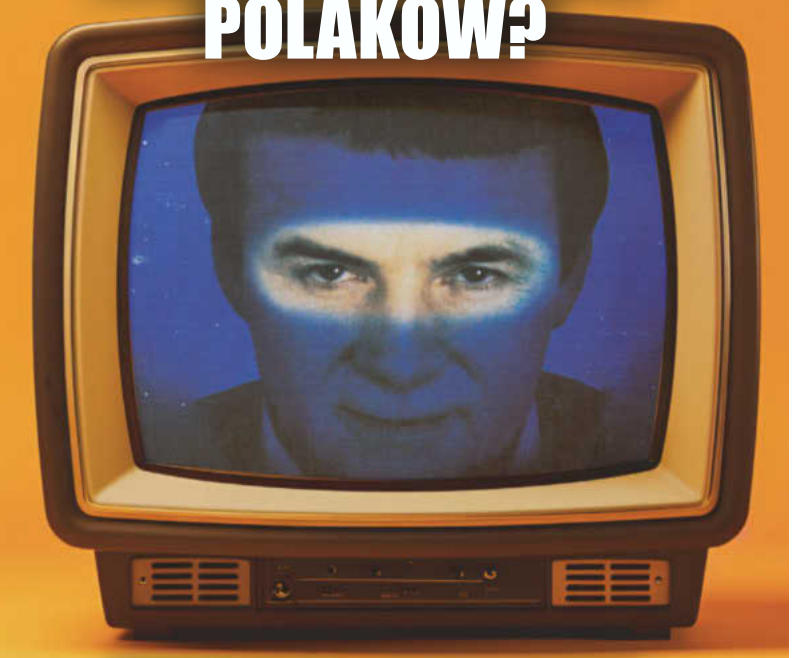
KONSULTACJA NAUKOWA: dr Igor Wypijewski
ZDJĘCIA: Shutterstock (2); Wikimedia Commons (6); mat. redakcyjne/AI (2); mat. prasowe

eprasa.pl:d33e96795c

W następnym numerze*

Kolejne wydanie w sprzedaży od **27 maja**

JAK KASZPIROWSKI ZAHIPNOTYZOWAŁ POLAKÓW?



Tysiące osób były gotowe przysiąc, że wyleczył je na odległość za pomocą głosu. On sam chwalił się, że dzięki swoim telewizyjnym seansom uwolnił od dolegliwości ponad 10 milionów chorych!



W 25 lat podbił więcej ziem niż Rzym przez cztery stulecia. Czy to dzięki niemu na Stary Kontynent dotarły wynalazki i idee, które stworzyły współczesność?

CZYNGIS-CHAN OJCIEC NOWOCZESNEJ EUROPY?

W 1926 roku Polacy mieli dość partyjniactwa, inflacji i... demokracji. W siłę rosły ruchy ekstremistyczne. Brzmi znajomo? Co po stu latach zamach majowy mówi nam o teraźniejszości?



ZMĘCZENI WOLNOŚCIĄ



FAKE NEWSY sprzed stuleci

Plotki, pomówienia i półprawdy od wieków wpływają na wielką politykę. Wykorzystanie dezinformacji do walki o władzę nie jest wcale wynalazkiem naszych czasów...

*Redakcja zastrzega sobie możliwość zmiany tematów

ZDJĘCIA: Adobe Stock (3); Wikimedia Commons; FoKa/Forum; kadr z filmu *Czyngis-chan*/Polsat

eprasa.pl d83e967980













1 wydanie gratis*

6 wydań Świata Wiedzy Historia za 69,90 zł

Zaprenumeruj Świat Wiedzy Historia

z bezpłatną dostawą do domu**

Aby zamówić prenumeratę, wejdź na **https://czytelnia.pl**,
wyślij e-mail na: **prenumerata@bauer.pl**,
zadzwoń: **67 210 86 05, 67 354 16 05** lub zeskanuj kod QR obok.

Świat Wiedzy Historia można zaprenumerować od aktualnego numeru.

Wysyłkę egzemplarzy w prenumeracie realizujemy za pośrednictwem Poczty Polskiej listami ekonomicznymi; koszt dostawy na terenie kraju ponosi Wydawnictwo. W przypadku prenumeraty wysyłanej poza granice kraju do jej ceny doliczamy opłatę pocztową za list ekonomiczny.
Termin dostawy jest zgodny z Regulaminem Poczty Polskiej.

Zapłata: wraz z pierwszym egzemplarzem z zamówionej prenumeraty wyślemy fakturę proforma, którą prosimy opłacić w ciągu 10 dni po jej otrzymaniu. Faktury VAT wystawiamy na życzenie Zamawiającego.

Zamawiającemu przysługuje prawo odstąpienia od umowy prenumeraty bez podania przyczyny i ponoszenia kosztów, jeśli zgłoszenie odstąpienia nastąpi w terminie 14 dni od dnia dostarczenia pierwszego numeru czasopisma. W innych przypadkach obowiązują przepisy Kodeksu cywilnego oraz Ustawy o prawach konsumenta. Wzór pisma o odstąpieniu od umowy znajdą Państwo w regulaminie sklepu na stronie **https://czytelnia.pl**

W przypadku pytań lub reklamacji prosimy dzwonić pod numer **67 210 86 05** albo **67 354 16 05** w godzinach od 8 do 18.

* Liczba wydań gratisowych liczona w odniesieniu do cen okładkowych.

** Darmowa dostawa realizowana na terenie kraju za pośrednictwem Poczty Polskiej listami ekonomicznymi.

eprasa.pl d83e96798c

JBL

pl.jbl.com





CHARGE 6

ODTWARZAJ I ŁADUJ W DOWOLNYM MIEJSCU

epr.asa.pl d83e96798c